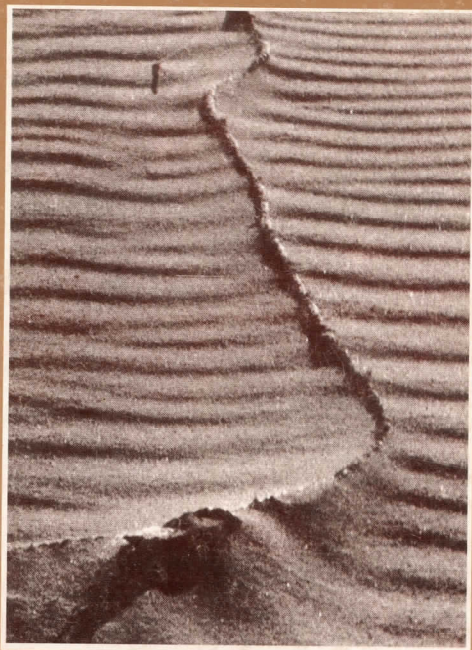


**ŻYDZI POLSCY**

Joanna Wiszniewicz

# Z POLSKI DO IZRAELA



KARTA

## Spis treści

MAREK: Ja jestem z sześćdziesiątego siódmego – 6

RAFAŁ: Bez przygotowania – 32

HERMAN LITMAN: Tu jesteś u siebie – 44

MAGDA: Tak się złożyło – 50

YOHANAN BAR YAFE: Tates, mycka i żydowski modlitewnik – 57

# ŻYDZI POLSCY

1

Z POLSKI  
DO IZRAELA

Żydzi polscy

FUNDACJA OŚRODKA KARTA  
BIBLIOTEKA  
02-55 Warszawa, ul. Narbutta 29  
tel. (22) 546-07-12, fax (22) 546-65-11

nr inw. 1838



Joanna Wiszniewicz

# Z POLSKI DO IZRAELA

Rozmowy z pokoleniem '68

KARTA



© Copyright by Joanna Wiszniewicz

BELLA SZWARCMAN-CZARNOTA – współpraca redakcyjna  
MACIEJ KAŁKUS – projekt okładki  
BARTŁOMIEJ BINDER-FRYCZ – zdjęcie na okładce  
ALEKSANDER DĄBROWSKI – skład komputerowy

**Wydawnictwo KARTA, Warszawa 1992**  
wydanie pierwsze

**ISBN 83-900676-0-9**

Do Izraela wybierałam się kilkanaście lat. Od momentu, kiedy mój przyjaciel, emigrant z sześćdziesiątego ósmego roku, zaczął dawać sygnały, że mój przyjazd turystyczny tam jest możliwy. Mimo zerwanych stosunków dyplomatycznych między Polską a Izraelem. Nielegalny, ale możliwy. Trzeba tylko pojechać do jakiegoś zachodniego kraju, tam wykupić izraelską wizę, poprosić, by dano mi ją na karteczce, dzięki czemu w paszporcie nie zostawał po niej żaden ślad – i można było potem bezpiecznie wrócić do Polski.

Nie pojechałam. Wśród wielu przyczyn najistotniejsza była jedna: lęk przed spotkaniem z Izraelem – krajem, który mógłby być i moim krajem. Lęk przed spotkaniem z sytuacją wymuszającą na mnie ocenę wyboru, jakiego kiedyś dokonałam, zostając w Polsce. Musiałam przeżyć jeszcze wiele lat dorosłego życia, wzrastać tu, zakorzeniać się, by dopiero z takim bagażem umieć wybrać się do Izraela. W podróż – trochę do siebie samej.

Teksty zamieszczone w tej książce stanowią zapis najważniejszych fragmentów podróży. Rozmów z ludźmi. Dzięki nim przekraczałam zewnętrzne, atakujące turystów wrażenia kolorowej, choć militarnej zarazem egzotyki Izraela i wchodziłam w obszar ciemniejszy i trudniejszy – obszar losu emigranta i imigranta. Losu, który mógłby być i moim losem.

Ludzie, z którymi przez te siedem tygodni rozmawiałam, to bardzo specyficzna grupa. Wychowani w Polsce, w Marcu będący jeszcze w liceum lub na studiach, w Izraelu politycznie sytuujący się bliżej ugrupowań liberalnych, z ostrożnym lub niechętnym stosunkiem do żydowskiego życia religijnego. Bynajmniej nie są reprezentatywni dla całego społeczeństwa izraelskiego (czy w ogóle możliwa jest książka oddająca poglądy całego społeczeństwa izraelskiego?). Po prostu – kilka osób, kilka pojedynczych życiorysów, kilka osobistych refleksji, podsumowań. A jednak słuchając ich miałam wrażenie, że ofiarowują mi wiedzę, która inaczej byłaby mi zupełnie niedostępna.

Postanowiłam podzielić się nią z innymi osobami w Polsce. Nagrane i zautoryzowane wywiady przygotowałam do druku. Z całą świadomością fragmentaryczności i jednostronności obrazu Izraela, jaki one niosą. Ze świadomością, że od momentu nagrania (maj 1989) do momentu publikacji upłynie czas, który może zmienić i sytuację moich rozmówców, i ich poglądy.

Pomyślałam, że mimo wszystko warto utrwalić te wizje Izraela. Pięć wizji, wynikłych z pięciu życiorysów, w których wola i przypadek wciąż grały z losem w chowanego.

Joanna Wiszniewicz

## Ja jestem z sześćdziesiątego siódmego

To nie sześćdziesiąty ósmy rok zadecydował o moim wyjeździe. Ja jestem z sześćdziesiątego siódmego. Postanowiłem wyemigrować po wojnie sześciodniowej. Mimo że realizację tego postanowienia odkładałem na czas dużo późniejszy.

Przed wojną sześciodniową bycie Żydem w Polsce było dla mnie i wielu moich żydowskich kolegów ze studiów czymś niejasnym i dwuznacznym. Czuliśmy się Polakami i chcieliśmy być Polakami. Żydostwo wydawało nam się niepotrzebne, komplikujące, wolelibyśmy, żeby go w nas w ogóle nie było.

Owszem, dawało rozmaite atuty. Na przykład większe możliwości wyjazdów za granicę czy poparcie materialne instytucji żydowskich. Ja z tego korzystałem, ale w niektórych środowiskach było oczywiste, że jeździ się na kolonie żydowskie i otrzymuje pomoc organizacji żydowskiej. Bycie Żydem dawało jeszcze jeden przywilej: prawo do emigracji. I od pięćdziesiątego siódmego roku ruch był wielki.<sup>1</sup> Ale był też i cień: odziedziczone przekonanie, że Żydzi są w Polsce obywatelami drugiej klasy.

Już jako kilkunastoletni chłopak wiedziałem, że są kariery dla mnie zamknięte: szkoła oficerska, prokuratura, system ścigania, MSZ. To nie bolało, bo w moim środowisku zawody te nie wydawały się atrakcyjne. Ale świadomość, że pewnych rzeczy nie możemy, była.

Mój stosunek do żydostwa był zawsze ambiwalentny. Gdybym żył dwadzieścia lat wcześniej, na pewno jednoznacznie optowałbym za asymilacją. Dla mojej rodziny i mojego środowiska asymilacja była niezbędnym biletem wstępu do liberalnego, otwartego społeczeństwa. Uważano, że każdy kulturalny i cywilizowany człowiek ma niejako intelektualny obowiązek zasymilowania się. W Polsce pozostanie Żydem oznaczało dla mnie powrót niemalże do getta, do miasteczka, do zelowania butów. Nie było żadnej motywacji, żeby być mniejszością! Warte podtrzymania wydawały się tylko niektóre elementy żydostwa, funkcjonujące jako ciekawe marginalia w kulturze polskiej — książki Strykowskiego, Buczkowskiego stały na każdej żydowskiej półce. I chodziło jakby tylko o to: niech od czasu do czasu ukaże się książka dająca świadectwo istnieniu Żydów. Wystarczy.

Dla mnie było oczywiste, że gdyby moi rodzice nie wybrali asymilacji, to

\* Informacje na temat ważniejszych wydarzeń ze współczesnej historii Izraela na str. 79-80.



my byśmy w Polsce nie zostali. Zostaliśmy, żeby żyć jako Polacy. I nigdy przez myśl mi nie przeszło, że jestem złym Polakiem czy że mógłbym być od kogoś gorszym Polakiem. Przeciwnie, pamiętam, że w latach sześćdziesiątych, jeszcze przed rozpoczęciem studiów byłem zwolennikiem teorii, że bycie Żydem w Polsce to niejako wyższy stopień bycia Polakiem. Bo ma się w sobie wszystko, co polskie, plus parę jeszcze rzeczy, po które Polacy nie sięgają — świadomość żydowskich korzeni, żydowskiego świata i specyficznie żydowskie nastawienie do rzeczywistości: otwarte i nienarodocentryczne.

W tym czasie działałem intensywnie w harcerstwie. Zwróć uwagę: w organizacji, w której wpajanie patriotyzmu, kształtowanie polskiego etosu narodowego było niezwykle ważne. Harcerstwo stanowiło w moim życiu sprawę numer jeden. W sześćdziesiątym siódmym roku byłem już szczepowym. Czyli tym, który uczył instruktorów, decydował, co jest częścią etosu narodowego, a co nie. I niewykluczone, że gdybym wówczas nie funkcjonował jako ten rozsądek polskiego etosu, to pytania, które postawiłem sobie po wojnie sześciordniowej nie byłyby tak wyraziste.

Jakie pytania? Zasadnicze. Pytałem siebie, czy ja rzeczywiście mam prawo być tym, który będzie przekazywał etos narodowy setkom innych ludzi. Czy ja jestem na właściwym miejscu. I czułem się w tej roli coraz bardziej nienaturalnie, podejrzewając, że ci, co na mnie patrzą, mogą mi nie wierzyć. Nie z powodu tego, co mówię, lecz k t o to mówi. Przecież, kiedy w pobliżu małych wiosek robiliśmy nasze obozy harcerskie, z polsko-patriotycznymi imprezami, z wciąganiem flagi na maszt, śpiewaniem hymnu narodowego i tak dalej, to okoliczni chłopci nieraz zjadliwie uśmiechali się pod nosem, widząc, że robi to banda Żydów. Tak! Banda Żydów! W kadrze, która liczyła około pięćdziesięciu osób była nas prawie połowa. Monstrualny procent! I każdy z nas nauczał tego etosu narodowego. Bo świadomościowo przecież wszyscy byliśmy Polakami.

W pewnym momencie stało się to dla mnie naprawdę problemem. Zacząłem odczuwać coś w rodzaju nieautentyczności, rosła we mnie świadomość, że nigdy nie będę mógł być w pełni polskim patriotą, polskim nacjonalistą. Nie dlatego, żebym nie umiał. Lecz, że nie będę miał do tego prawa. Nawet we własnych oczach. Nigdy.

Mam tu zbiór opowiadań Sandauera — z czasów, kiedy Sandauer potrafił jeszcze pisać, czyli sprzed bardzo wielu lat. Tam bardzo dobrze wyartykułowana jest ta świadomość nieautentyczności, że oto on, literat, który pisze w języku polskim, cały czas zdaje sobie sprawę, że jest złodziejem, że wlaźł do cudzego ogrodu. We mnie to poczucie ciągle narastało.

Izraelski triumf, zwycięstwo żydowskiego państwa w sześćdziesiątym siódmym roku postawiło sprawę mojego żydostwa na ostrzu noża. Trzeba było



sobie przypomnieć, że istnieje Izrael — inna opcja. Przedtem my w jakimś sensie żyliśmy w nierealnym świecie. Nie chcieliśmy spoglądać w tamtą stronę. Tymczasem po cichutku, po cichutku ta opcja wyrosła. Aż rok sześćdziesiąty siódmy oznajmił: diaspora odchodzi w przeszłość. Jest nowe, nacjonalistyczne, samorządne żydostwo i ono ma prawo do każdego Żyda. Ma prawo do roszczeń równie uniwersalistycznych, jak każdy inny nacjonalizm.

Zrozumiałem wtedy, że już nie mogę traktować mojego żydostwa tak jak dotąd, czyli jako sposobu na bycie lepszym rodzajem Polaka — Polaka wyposażonego w dodatkowe, żydowskie elementy — bo to inni, nie ja, zadecydują, które z tych elementów wolno mi zachować, a których nie. A to jest uwłaczające. I zrozumiałem, że gdy istnieje izraelska alternatywa żydostwa nacjonalistycznego, to funkcjonowanie człowieka należącego zarazem do dwóch takich społeczności jak Polska i Izrael, jest na dłuższą metę niemożliwe. Bo one obie żądają totalnej nacjonalistycznej wyłączności.

W sześćdziesiątym siódmym roku byłem więc już całkowicie zdecydowany. Czulem, że mój wybór między Polską a Izraelem jest czysty i przez nikogo nie narzucony (po wojnie sześciodniowej szykany antysemityczne dotyczyły początkowo tylko aparatu państwowego). Był również rzadki i niepopularny. To miłe lechtało moją próżność. Niestety, przyszedł rok sześćdziesiąty ósmy ze swoim antysemityzmem i popsuł mi wszystko. Nie miałem już żadnego wyboru. Wtedy wyjeżdżało się przeciwko Polsce. Uciekało się przed antysemityzmem. I moja śmiała i indywidualna decyzja nagle stała się decyzją powszechną. Zostałem częścią uciekającego tłumu. Zrobiono mi twarz. Nie moją twarz! Ja nie chciałem być ofiarą antysemityzmu, wyjeżdżać dlatego, że Polska okazała się antysemitka. Mój wybór był za a, a nie przeciw. Za! Bo taki właśnie był ktoś syjonistyczny sześćdziesiątego siódmego roku.

Na szczęście, Pan Bóg zlitował się nade mną i pozwolił mi dokonać czystego wyboru. W Marcu nie byłem za żydostwo represjonowany, poza tym główny strumień emigracji poszedł wtedy nie do Izraela, lecz w inną stronę. Wówczas okazało się, że mój wybór jest jednak z a. Gdy wyjeżdżałem pod koniec sześćdziesiątego dziewiątego roku, do Izraela emigrowali już tylko nieliczni.

Wiedziałem, że rezygnuję z Europy. Warszawa intelektualnie była wtedy dla mnie Europą. Obracałem się w elicie warszawskiej, miałem też możliwość doskoku do Nowego Jorku, do rodziny. W moim środowisku mieliśmy poczucie, że należymy naprawdę do wybranych. Czuliśmy się obywatelami cywilizacji europejskiej.

Rezygnowałem z tego wszystkiego. Mówiłem sobie, że to w imię współtworzenia czegoś nowego, autentycznego, co w perspektywie pokoleń może stać

się równie ważkie. Wtedy wydawało mi się, że myślę oryginalnie. Dopiero tutaj zrozumiałem, że podobnych wyborów dokonywała w latach trzydziestych wykształcona młodzież żydowska z pokolenia moich dziadków. Ci ludzie przyjeżdżali z Polski, Niemiec, Czechosłowacji, Węgier. Wielu, tak jak ja, pochodziło ze zasymilowanych domów, ale nasilenie się w ich krajach antysemityzmu powodowało, że z czasem zaczęli odczuwać swoją nieautentyczność i decydowali się na wyjazd do Palestyny. Przedtem pilnie wdrażając się do pracy fizycznej, by zakładać kibuce.

Oczywiście ja nie jechałem do Palestyny lat trzydziestych. Ale miałem poczucie, że wyjeżdżam z kraju nowoczesnego do kraju, który tkwi głęboko w przeszłości. Że wybieram się na jakąś tam rewolucję, jakąś tam Kubę, gdzie buduje się coś wielkim wysiłkiem narodowym. Wielkie programy, ludzie machający łopatami, zbiorowy trud, zbiorowe wyrzeczenie. Ten obraz nie wydawał mi się szczególnie pociągający, ale mówiłem sobie, że to tylko etap. Że „mój” typ nacjonalizmu jeszcze się wytworzy. I że za tę wartość gotów jestem zapłacić niemalże wszystkim.

Przyjechałem do Izraela. Wtedy to było centrum świata, Mekka, zjeżdżali najciekawszy ludzie z Ameryki, z Europy Zachodniej, przewalały się tłumy młodzieży. Było przyjemnie, kolorowo, stare miasto w Jerozolimie pełne szczęśliwych ludzi, sklepiki arabskie, kramiki, handel, Wschód, kafejki, gdzie się pali haszysz... A przy tym wszystkim – straszna prowincja. Ludzie przyjeżdżali i natychmiast odkrywali, że tu są po prostu małe miasta, małe mieszkania, biurokracja, bałagan – zwyczajne życie, tyle że bardziej skomplikowane i nerwowe. Ja miałem dość wygodną sytuację – byłem bez rodziny, bez żadnych wymagań, poszedłem na uniwersytet i zamieszkałem w akademiku. Ale ci, którzy musieli zdobywać pracę czy mieszkanie – przechodzili gehennę.

Bo system rozdziału mieszkań był i jest tu skorumpowany. Choć nie, skorumpowany to złe słowo. Lewantyński.<sup>2</sup> Bez reguł. A jeśli nie ma reguł, to dziś ta sama sprawa załatwiana jest w taki sposób, a jutro w inny – nigdy nie kończy się improwizacja. I w ostatecznym rachunku liczą się kontakty, to, czy cię znają, twarz, wrażenie, a nie to, co reprezentujesz. I liczy się, czy umiesz perswadować, chodzić i wiedzieć, do kogo chodzić, i nie ustępować, nie popuszczać. Tak jest z rozdziałem mieszkań i ze wszystkim.

Z pracą było wtedy ciężko, bo ludzie, którzy przyjechali tu po sześćdziesiątym ósmym roku, nie pasowali do potrzeb rynku. Tu potrzebowano prostych robotników lub inicjatywy prywatnej, a oni wszyscy chcieli pracować w instytucjach. Wywodzili się ze środowisk elitarnych, mieli dostęp, przynajmniej intelektualnie, do najlepszych rzeczy na Zachodzie, w Polsce byli pracownikami dużych przedsiębiorstw i nawet jeżeli stosowano tam nienowoczesne technologie – były to wielkie, zindustrializowane systemy. A



tu – chałupnictwo. Inżynier, który w Polsce pracował w biurze projektów z dziesiątkami innych inżynierów, tu mógł być w firmie sam i mieć do pomocy dwóch czy trzech techników, spełniających tysiące różnych funkcji. W Polsce projektował ogromne osiedla – tutaj z trudem dostawał do opracowania dwupiętrowy budynek. Tam tworzył elementy wielkiej fabryki, tu – detale. Może mógł pracować bardziej samodzielnie, ale skala tego była taka mała! I cały czas miało się poczucie, że wszystko, co się robi jest „nie-professional”. Nie ma jasnych reguł ani organizacji pracy, dziś jest tak, jutro inaczej...

Wielu emigrantów, zwłaszcza tych zdolniejszych, wyjechało stąd bardzo szybko. Inni żyli tak, jakby mieli pretensje do garbatego, że ma proste dzieci. Bo nie rozumieli, że Izrael dlatego jest sfuszrowany, że go budowali ludzie z małych miasteczek Europy Wschodniej wraz z fellachami z muzułmańskich społeczeństw wczesnofeudalnych. Dosłownie, średniowiecze! Gdy sefardyjczycy (czyli Żydzi z krajów arabskich oraz Turcji, Persji i Grecji) przyjechali tu w czterdziestym ósmym i pięćdziesiątym roku, to funkcjonowali niemal tak samo, jak dzisiaj Arabowie – bez jakichkolwiek wartości zachodnich. Nie to, że zła praca, tylko brak wartości zachodnich.

Arabowie pracują znacznie ciężiej niż inni. Ale ich organizacja społeczna jest niezwykle niska, hierarchia wartości rozmyta, nie jest właściwie jasne, co ważne, a co nie, a ich język ma tyle wyrażeń ogólnych, że każda rzecz może być interpretowana tak lub inaczej. Nie ma jednoznacznych odpowiedzi, odkrywania kart, do wszystkiego trzeba się dogrzebać i właściwie każdy podświadomie pragnie ukryć własne intencje.

Tacy są Arabowie, tak też wyglądali tu pod koniec lat czterdziestych sefardyjczycy. Kiedy ja ich spotkałem, byli już na zupełnie innym etapie. Dokonali ogromnego skoku cywilizacyjnego. Izrael dokonał ogromnego skoku. Ale była to ciągle połowa drogi do cywilizacji. I system lewantyński, który sefardyjczycy ze sobą przynieśli, ciągle tu funkcjonuje.

To bardzo komplikuje życie. Kontakt jest możliwy, ale wymaga pertraktacji, nie kończącego się poszukiwania kompromisu. Człowiek Zachodu powiedziałby: „tak” albo „nie” – i koniec dyskusji. Rozchodzimy się. A tu nie można. Nie wolno godzić się z odmową, nie wolno przyznawać przeciwnikowi racji, nie liczą się argumenty, bo słuszność twojej sprawy mierzona jest siłą twojej reakcji.

Dla mnie, człowieka Zachodu, to jest strasznie trudne. Bo jeśli ktoś mówi ci „nie”, to ile razy ty potrafisz wracać i zaczynać wszystko od początku, we własnych oczach robiąc z siebie idiotę?

W końcu się tego nauczyłem. Mniej więcej po dziesięciu latach pobytu w Izraelu. Dziś nigdy się na nic nie godzę, walczę, dopóki sam nie zdecyduję, że wyczerpałem wszystkie, również najbardziej irracjonalne sposoby. Lecz robię to

wbrew sobie. I jeśli przeciwnik powie mi coś przekonywającego, w duchu, w skrytości mówię mu: „masz rację”. Bo wierzę, że istnieją obiektywne miary.

Pytasz, jak to było z Arabami. No cóż, do wojny Jom Kippur w siedemdziesiątym trzecim roku — atmosfera wielkiego „kochajmy się”. Chyba trochę tak jak w Niemczech zdobytych przez Amerykanów. Przedtem widzieli w nas śmiertelnego wroga, ale nagle się zakochali, bo on był nowoczesny i miał pieniądze do wydania.

Była w tej sytuacji jakaś niewinność. Okupacja *de luxe*. Bez wojska, bez policji. Arabowie nie stawiali oporu, więc nie trzeba było stosować ostrych metod. Ich wtedy niemalże nie było widać jako narodu. Wszystkie elity arabskie, palestyńskie uciekły, została szara, nie licząca się masa robotników i kupców, przekonanych, że opór jest bezcelowy i wyzwolić ich mogą tylko wielkie kraje arabskie. Gdy z czasem, po latach, zobaczyli, że nikt nie ma zamiaru ich wyzwalać, że mogą liczyć tylko na siebie i że nie są tacy bezradni, za to dwa razy silniejsi niż przedtem — zaczęli stawiać opór, a nasza okupacja stała się brutalna, represyjna i dziś Arab spokojnie powietrza nie wciągnie, żeby mu ktoś tego w jakiś sposób nie regulował. I podstawowy problem moralny, jaki się z czasem w Izraelu pojawił, zaczął dotyczyć bynajmniej nie samej istoty okupacji, tylko jej metod. Metod! Dwadzieścia lat temu Arabowie się nie sprzeciwiali, więc można było patrzeć w drugą stronę i udawać, że wszyscy są szczęśliwi. Wszyscy uśmiechali się do kamery.

Kiedy tu przyjechałem, Arabowie (ideolodzy ruchu arabskiego) ciągle twierdzili, że ani państwo żydowskie, ani naród żydowski nie mają prawa na tej ziemi być.<sup>3</sup> Analogicznie prawica<sup>4</sup> izraelska mówiła, że naród palestyński w ogóle nie istnieje, jest tylko jeden wielki naród arabski zamieszkujący terytorium wszystkich krajów arabskich, które w czasie wojny sześciodniowej zmniejszyło się raptem o pół procenta, więc wobec tak niewielkiej straty Izrael zdobytych ziem nie musi nikomu oddawać.

Ja skłaniałem się ku poglądom lewicy izraelskiej. Że ma być kompromis. Dwa ruchy narodowe: żydowski i arabski; dwa państwa: Izrael i Palestyna; konieczność zaakceptowania siebie nawzajem; konieczność oddania Palestyńczykom ziem okupowanych w granicach sprzed sześćdziesiątego siódmego roku z małymi korektami (stare granice były niewygodne, bardzo pokręcone komunikacyjnie i strategicznie).

Cały Izrael jeździł wtedy zwiedzać zdobyte tereny. Wszyscy pchali się tam jak szaleni. Z niesłychanym entuzjazmem. Zwłaszcza na wzgórze Golan.<sup>5</sup> Była w tym nie tylko radość zwycięstwa, ale coś więcej: jakby chęć nawiązania ponownego kontaktu z własną ziemią, chęć nadrobienia wieloletniej



tulaczki w diasporze. Wędrowanie stało się narodowym hobby. Na nowe tereny jechało się arabskim autobusem, z Arabami, mało było jeszcze samochodów, wędrowało się po kraju – biednym, prowincjonalnym, ale nagle, po wojnie sześciodniowej, czterokrotnie większym.

Ja włączyłem się w ten entuzjazm, w ten nieustający festiwal. Jeździłem zachłannie, zwiedzałem. Nie miałem wątpliwości – nikt na lewicy nie miał – że my to jutro Arabom oddamy (lewica organizowała demonstracje domagając się tego) – ale póki co jeździli tam i zwiedzali te ziemie wszyscy. Była radość, że one są, że są zastawem za pokój i że są piękne.

Oficjalnie Izrael przyjął uchwałę Rady Bezpieczeństwa nr 242 (z listopada 1967) mówiącą, że jak zwrócimy zdobyte terytoria, dostaniemy pokój i bezpieczne granice. Niestety, uchwała nie precyzowała dokładnie, czy o wszystkie terytoria chodzi, a Arabowie nie chcieli wtedy pokoju sądząc, że i bez tego zdołają swe utracone ziemie odebrać. Z czasem izraelska motywacja do oddawania ziem zaczęła maleć, mówilo się: „Owszem, przyjęliśmy uchwałę 242, ale granice trzeba zmienić, bo z tymi skomplikowanymi nie uda się przetrwać” i nawet jeżeli chodziło tylko o drobne poprawki graniczne, to wielu rozumiało to tak, że „nie oddamy ani kawałka”. W ten sposób sytuacja tymczasowa zaczęła się przedłużać, nabierając własnej dynamiki. A myśmy się do tych ziem coraz bardziej przyzwyczajali.

W sześćdziesiątym ósmym roku na zdobytych ziemiach zaczęło się pojawiać żydowskie osadnictwo. Osadnicy, na ogół religijni Izraelczycy z tzw. odłamu narodowego, mówili: „Pan Bóg obiecał nam tę ziemię i my, religijni Żydzi, mamy religijny obowiązek zasiedlić ją i utrzymać”. Zaczęli od Arabów wykupywać prywatne tereny i zabudowywać je osiedłami i kibucami, tworząc oddolny ruch osadniczy, z czasem nazwany „polityką faktów dokonanych”. Zakładano, że im silniejsze korzenie zapuszczą Żydzi na nowych terenach, tym trudniej będzie potem pertraktować w sprawie oddania zasiedlanych ziem.

Arabowie, oczywiście, nie chcieli żydowskiego osadnictwa. Lecz co mogli zrobić? Nie sprzedawać swoich posiadłości? Teoretycznie mogli. Ale kiedy ty nie masz ani władzy ani pieniędzy, to co możesz zrobić przeciwko czyjejsz władzy i pieniądзом? Żydzi przychodzili do takiego Araba i mówili: „Wiesz co? Tak naprawdę to my widzimy, że papiery, które masz na tę swoją ziemię, są nieścisle (rzeczywiście były nieścisle, bo to jest struktura lewantyńska, gdzie wszystko jest pogmatwane i nie ma wyraźnych tytułów własności). Sprzedaj ją. My ci damy dobrą cenę i nie będziemy dyskutować, czy ta ziemia jest twoja czy nie. A jeżeli nie będziesz chciał sprzedać, to w ogóle zakwestionujemy twoją własność, więc i tak ją stracisz”.

Z czasem Arabowie znaleźli sposób obrony. Chcąc uniemożliwić nam naszą zabudowę postanowili sami zabudowywać swe puste tereny. Zaczął się

wyścig. W rezultacie te piękne, dzikie ziemie kompletnie zniszczono. Na moich oczach Arabowie pokryli je miasteczkami bez ulic, bez kanalizacji, z bezładną zabudową aż po horyzont. Wygląda to okropnie.

Ja zawsze uważałem, że żydowskie osadnictwo na tych terenach nie ma sensu, bo nie przywróci nam do nich praw, nie spowoduje, że Arabowie z nich znikną. A dopóki nie znikną, my nie będziemy mieć prawa tej ziemi nazywać naszą. Historyczny fakt, że jakiś naród jest w takim, a nie innym miejscu, wynika według mnie wyłącznie z czystego przypadku; jest rezultatem wojen, a nie tego, że jakaś ziemia ma być święta i przypisana przez Biblię jednemu tylko narodowi. My mamy prawo do „starego” Izraela<sup>6</sup>, bo tam jesteśmy, Arabowie do ziem przez nas okupowanych, bo tam są – i koniec.

Pozostaje problem współżycia. Część lewicy izraelskiej uważa, że po to, byśmy żyli razem w znośny sposób, musimy się kochać. Bzdura! Konflikt izraelsko-arabski jest konfliktem dwóch różnych narodów o terytoria i nie ma żadnej szansy na jakiegokolwiek pozytywne emocje między nimi! Arabowie stracili terytorium, myśmy zyskali terytorium. Poza tym jest to zarazem konflikt etniczny. A etniczacja konfliktu oznacza, że twoją winą jest tylko to, iż należysz do jakiejś grupy etnicznej. Arabowie prowadzą wojnę z każdym z nas. Z każdym, na kim najłatwiej położyć rękę. Ich ataki terrorystyczne... Dawniej tego się tak nie czuło, bo ludność miejscowa była całkowicie od nas zależna, nie mogło się zdarzyć, by jakiś przypadkowy Arab chciał z tobą walczyć. Musiałby to być specjalnie wyszkolony gdzieś w Syrii partyzant arabski, musiałby przejść przez dziesięć granic. Ale teraz... Teraz możesz paść ofiarą przemocy ze strony każdego niemal Araba! Nie dlatego, by akurat on osobiście był do tego skłonny. Ale dlatego, że są sytuacje, które mogą z niego zrobić takie właśnie narzędzie.

Od początku zdawałem sobie sprawę z głębi tego konfliktu. I już wtedy, gdy tu przyjechałem, gdy trwał cały ten kolorowy festiwal, upojenie zwycięstwem i radość z kontaktu z tą egzotyczną kulturą – już wtedy wiedziałem, że stanowimy społeczeństwa oddzielne, światy równoległe i nieprzenikalne, które mogą ocierać się o siebie poprzez pracę i handel, ale poza tym nie mają z sobą nic wspólnego. Obserwowałem różne, podejmowane przez obie strony próby nawiązywania kontaktów osobistych (na przykład organizowanie przez Arabów i Izraelczyków wspólnych posiłków w czasie przerw w pracy) i widziałem, jak bardzo są powierzchowne. Skończyły się zresztą po wojnie Jom Kippur. I już właściwie nie powróciły. Poza sporadycznymi próbami podejmowanymi przez skrajną lewicę.

W obecnej sytuacji oba te narody nie mają powodu do najmniejszej wzajemnej sympatii. Ale właśnie dlatego my, Żydzi, musimy w życiu codziennym być wobec Arabów szczególnie *correct*. Jeszcze półtora roku



temu, przed intifadą, myśmy niejako żyli wśród Arabów — kupowało się ich produkty, usługi. W tych wąskich ramach można wykazać ogromną ilość pogardy. Zwłaszcza, gdy na konflikt etniczny nakładają się duże różnice kulturowe. Izraelczycy w stosunku do siebie zachowują się w sposób bardzo bezpośredni i często chamski — w izraelskim sklepie zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał kupić bez kolejki, powie: „Daj szybko, bo zaparkowałem na środku ulicy”, podniesie głos, to jest normalne. Ale jeżeli Izraelczyk w arabskim sklepie powie: „Muszę kupić bez kolejki” — to wchodzi jak zdobywca, który ma specjalne prawa. Jeżeli mówi: „Odwal się”, natychmiast nabiera to charakteru obrazy narodowej, na którą Arab nie może zareagować. Bo wie, że Izraelczyk może sprowadzić przeciwko niemu policjanta, uruchomić cały aparat, że może wszystko.

Dlatego my z żoną w sklepach arabskich zawsze staraliśmy się zachowywać delikatniej niż w żydowskich. Tym bardziej, że w sklepie arabskim obowiązuje cały rytuał kupowania: trzeba się targować w specjalny sposób, nie można powiedzieć wprost: „Nie dam za to ani grosza więcej”, lecz należy pomówić o czymś innym, później przypomnieć: „No, nie udało nam się, to może innym razem...”, potem zacząć spokojnie wychodzić na ulicę, nie za szybko, bo wiadomo, że on od razu cię zawoła, więc nie zmuszaj go, by wybiegał za tobą na chodnik...

Nasza ostrożność, delikatność, pilnowanie się w sklepie arabskim wynikały z zażenowania. Z zażenowania rolą okupanta — samiśmy siebie tak odbierali. Kupując zatem w sklepie arabskim zawsze grzecznie pytaliśmy, grzecznie staliśmy w kolejce, zależało nam, by nas traktowano normalnie, nie sprzedawano niczego ani drożej (bo jako okupantów trzeba nas naciągnąć), ani taniej (bo jako okupanci możemy to wymusić) — ale to wszystko było bardzo trudne. Bo jeżeli nie ma równości, to nie ma naturalnych stosunków.

Zawsze zakładałem, że Arabowie są wobec mnie wrody i uważają, że jestem wrogi wobec nich. A ponieważ są słabsi, tym bardziej obowiązuje mnie *fair play*. Więc kiedy mój syn, gdy był mały, pytał, czy oni nie są wobec nas niechętni, mówiłem, że to nie ma znaczenia. Bo gdy przestrzega się reguł, można funkcjonować. I dawałem mu taki podwójny *message*: z jednej strony niechęć, z drugiej szacunek dla Arabów. W innych domach można było usłyszeć o Arabach wiele obraźliwych uwag. My na to nigdy nie pozwalaliśmy. Za to wpajaliśmy mu zdecydowaną pogardę dla prawicy izraelskiej. Dla tych wszystkich osadników, zwolenników twardego kursu czy transferu<sup>7</sup>.

W przekazywaniu dziecku takiej postawy nie jesteśmy sami. Wspiera nas całe nasze środowisko — liberalna inteligencja. Wspierają nas też *mass media*. Wbrew temu, co pewnie sobie wyobrażasz, izraelskie *mass media* cały czas pompują tu liberalną ideologię: że wszyscy jesteśmy równi, że biedny

Arab ma rację, a my, bezwzględni okupanci uznajemy tylko siłę. Ta propaganda wynika częściowo ze specyfiki środków przekazu, kamery. Telewizja codziennie pokazuje tu Arabów. A jak taki Arab w telewizji mówi: „Jesteśmy ludźmi, jak wy, wy macie swoje prawa, my swoje, my was szanujemy, więc i wy nas szanujcie” – to ten przekaz jest jednoznaczny. Bo pokazywanie ofiar działa nawet przy obojętnym komentarzu.

Z drugiej strony telewizja pokazuje ciągle tych, których Arabowie zabili lub do których strzelali. I pokazuje groźny arabski tłum. To budzi strach i szacunek, uniemożliwia pogardę. Przed intifadą, kiedy arabski tłum nie był jeszcze groźny, było dużo więcej pogardy dla Arabów. Teraz jest strach i szacunek. I to jest w porządku.

Swoją drogą podziwiam nasze *mass media*, że tak potrafią powstrzymać emocje społeczeństwa. Przecież naprawdę niewiele brakuje, żeby zetrzeć werniks wartości cywilizacji zachodniej, uwolnić emocje i pójść drogą zezwierżenia. Bo etniczacja konfliktu jest zaraźliwa. My nie mamy wprawdzie ambicji fizycznego zniszczenia narodu arabskiego, ale zdarza się, że gdy izraelscy żołnierze złapią Arabów rzucających kamieniami, to – kiedy nie są pilnowani – zrobią, co im serce dyktuje. Słyszy się, widzi się w telewizji – a to kogoś zatłukli, a to się znęcali. Rok temu buldożery izraelskie żywcem zasypały kilku Arabów. Inni Arabowie zaraz tych ludzi odkopali i w końcu nic im się nie stało, ale to było straszne.

Ten werniks cywilizacji zachodniej jest więc u nas bardzo cieniutki. Ale na szczęście trwa nieustanny wysiłek systemu politycznego i *mass mediów*, by go utrzymać. Każdego dnia dziennik telewizyjny pokazuje, że wojna idzie na dwóch frontach: z Arabami, ale też z ludźmi, którzy właśnie ten werniks cywilizacji starli. Z jakimiś osadnikami, co uważają, że jak Arab w nich rzuca kamieniem, to zamiast zawołać policjanta, trzeba odrzucić dwa. Z jakimiś żołnierzami, którzy jak rozpędzą demonstrację arabską, to nadal nie przestają bić. I niesamowite jest, że społeczeństwo ciągle ten liberalny etos kupuje. Tę ideologię, że jest prawo, że siła musi być kontrolowana przez prawo, że nie oplaca się rezygnować z wartości zachodnich. Z demokracji.

Wszyscy wiedzą, że można by zlikwidować społeczeństwo demokratyczne, zaostrzyć kurs, wprowadzić rządy silnej ręki. Wtedy łatwiej byłoby różne problemy rozwiązać, „zrobić z tym wszystkim porządek”. Ale ludzie na szczęście ciągle nie chcą. Rozumiej, że wtedy inne, dużo ważniejsze rzeczy byłyby stracone.

Pobraliśmy się w siedemdziesiątym drugim roku w Danii. W Danii, żeby nasze rodziny mogły w tym uczestniczyć. A także, żeby uniknąć żydowskiego ślubu religijnego. Bo w Izraelu nie ma ślubów cywilnych. Ślub może być



tylko religijny. Z rabinem, mykwą<sup>8</sup>, z czym chcesz jeszcze. Nic, co ważne w tym kraju, nie obywają się bez religii.

Religia żydowska jest religią narodową. Została pomyślana nie jako system dla wszystkich, lecz dla narodu żydowskiego. Między żydowską tradycją religijną a tradycją narodową istnieje więc jedność. Królowie żydowscy, będący postaciami historycznymi, są w religii żydowskiej niejako świętymi. Dzieci w szkole mają przedmiot *tanach*<sup>9</sup>, czytanie Biblii — poznają tam Biblię kawałek po kawałku jako kronikę historyczną — ale ponieważ jest to też dokument religijny, to ostatnio izraelskie władze oświatowe zalecają nawet szkołom laickim, by w czasie lekcji *tanach* chłopcy mieli nakrycie głowy (jak wymaga tego od mężczyzn religia żydowska).

Nie można się w tym kraju odczepić od religii. Widziałam, że w czasie szabasu<sup>10</sup> nie jeżdżą tu autobusy. Bo religia żydowska zakazuje w święta podróżowania (dojechać gdzieś wtedy możesz tylko samochodem, taksówką lub szejrutem<sup>11</sup>). Zamknięte są kina, teatry, bo religia żydowska zakazuje w święta zapalania i gaszenia światła. Zamknięte są kawiarnie, restauracje, sklepy, bo w święta jest zakaz używania pieniędzy. W czasie tygodnia Pesach<sup>12</sup> nie kupisz chleba, bo religia żydowska każe wtedy jeść macę.

Te wszystkie zwyczaje mogłyby być do zniesienia, gdyby nie ich przymus. W żydowskiej diasporze ludzie chętnie biorą śluby religijne. Ale w Izraelu nie. Bo gdy ktoś ci mówi, że musisz coś zrobić, i dyktuje ci, jak masz to zrobić — wtedy tego nie chcesz. I szukasz innego rozwiązania. Na przykład wyjeżdżasz na Cypr, czyli do najbliższego miejsca, gdzie możesz wziąć ślub cywilny. Albo znajdujesz różne możliwości wewnątrz kraju, bo one tu też są, jak w każdym przymusowym systemie.

Od momentu powstania Izraela aż do dziś trwa tu walka o religijny lub niereligijny charakter państwa. Dzisiaj większość Izraelczyków jest niepraktykująca, ale religijna mniejszość próbuje w pełni podporządkować życie publiczne wymogom religii. Świeccy starają się wydrzeć dla siebie z powrotem to, co już religii podporządkowano, ale religijni, nawet jeżeli oddają jakieś pole, zagarniają inne, dotąd im niedostępne. Zgadniają się, na przykład, na otwarcie w sobotę jakiegoś kina czy restauracji, ale za to biorą dotację na swoją szkołę lub uzyskują zwolnienie od służby wojskowej (teraz wystarczy, by ktoś rok przed wojskiem przypomniał sobie, że jest ortodoksyjnym Żydem — i już ma wojsko z głowy).

Przez te dwadzieścia lat, kiedy tu jestem, świeckim nie udało się uzyskać przewagi. W dodatku układ sił się zmienił. Dwadzieścia lat temu ortodoksyjni, tzw. czarni albo kapoty (bo chodzą w czarnych chałatach, w czarnych kapeluszkach, lisich czapach albo czarnych, jedwabnych myckach) byli właściwie niewidoczni. Widziało się natomiast tzw. narodowych (noszących jar-

mulki robione szydelkiem), którzy oprócz nakazu przestrzegania zasad religii za swój obowiązek uważają pracę rolniczą na Ziemi Świętej i zbrojną jej obronę. W latach trzydziestych stanowili religijny odłam ruchu syjonistycznego (w istocie laickiego), dziś są zazwyczaj osadnikami na ziemiach okupowanych i noszą przy boku karabin (Izraelczycy mieszkający na ziemiach okupowanych mają prawo do noszenia broni).

Narodowi dwadzieścia lat temu mieli wśród partii religijnych niemal trzy czwarte głosów — dziś tyle mają ortodoksi, których widać wszędzie: ich liczba zwiększyła się mniej więcej trzykrotnie i stanowią teraz jedną piątą żydowskiej populacji w Izraelu. Ortodoksi dawniej mieszkali głównie w Mea Szearim<sup>13</sup> — dzielnicy założonej sto lat temu przez Żydów z Europy Wschodniej, przybyłych tu z tymi swoimi chałatami i kapelusami, by mieszkać i umrzeć bliżej Ściany Płaczu<sup>14</sup> i Pana Boga<sup>15</sup> — dziś w Jerozolimie mają już kilka nowych ogromnych dzielnic. Waga tej grupy wzrosła niepomiaralnie, czują się silni i są strasznie ofensywni.

Co ja na to wszystko? No, niezbyt mi się to podoba. Ja jestem ateistą, ateizm uważam za jedyny dojrzały sposób rozumienia rzeczywistości; to jest dla mnie wartość, której intelektualnie gotów jestem zawsze bronić, choć z szacunkiem traktuję uczucia religijne innych. Przyjeżdżając tu wiedziałem o dualizmie religijno-świeckim Izraela i gotów byłem to aprobować (jak wiele innych, niekoniecznie najświetniejszych rzeczy w tym kraju). Teraz jednak kiepsko się z tym czuję. Bo dziś religią w Izraelu rządzi fundamentalizm, czyli jej najbardziej dosłowne, antyduchowe i antyfilozoficzne rozumienie. Dziś w Izraelu powszechnie się uważa, że aby być naprawdę religijnym, trzeba założyć kapotę, zapuścić pejsy, brodę, sięść do Pisma Świętego i niczym więcej się nie zajmować.

Moje pokolenie, pokolenie laickie tych, którzy przyjechali tu z Europy Środkowej i Wschodniej, żyje w potwornym strachu. Że nasze dzieci odpłyną. Dzieci odpływają w ortodoksję, w fanatyzm nowo nawróconych, my to widzimy na każdym kroku. I to są dzieci z domów laickich i ze szkół laickich! Bo laicka szkoła w Izraelu jest — nawet wbrew swojej woli — przedsiönkiem do ortodoksji. Dzieciom, obowiązkowo czytającym w szkole Biblię, jej świecka interpretacja nie wystarcza. One wiedzą, że jest to również dokument religijny, że kryje w sobie coś więcej niż tylko opowieść historyczną. To zaczyna je zaciekawiać, jest tajemnicze, chcą tego dotknąć, zrozumieć, dowiedzieć się więcej. A kto wie więcej? Kto Pismo Święte rozumie? Oczywiście „kapoty”! Więc młodzi do nich idą.

To są straszne tragedie, myśmy to wiele razy widzieli: twoje dziecko dobrowolnie ucieka w religię i ty nic nie możesz na to poradzić. Najwyżej iść za nim. Chociażby udając. Gdyby mój syn poszedł w ortodoksję, to ja,



oczywiście, musiałbym wprowadzić kosztowną kuchnię, założyć jarmulkę, przestrzegać wszystkich świąt, zakazów, nie jeździć w soboty. Inaczej jemu nie wolno byłoby wejść do mojego domu.<sup>16</sup> Bo dla ludzi świeckich świat ortodoksji żydowskiej jest światem zamkniętym. Nie ma w nim stadiów pośrednich, kompromisów. Albo bierzesz wszystko, albo nic. Jeżeli bierzesz tylko część, nic nie zrobisz. Jesteś nadal niekoszerny Żyd. Możesz nie jeść swininy, ale i tak jesteś niekoszerny Żyd.

Ja posłałem mojego syna do szkoły z rozszerzonym programem historii i religii żydowskiej i z orientacją ku konserwatywnej odmianie tej religii (to amerykańska, złagodzona i zmodernizowana wersja tradycyjnej żydowskiej religijności). Założyłem sobie, że to może być jak z ospą: niech się uodporni, zetknie z religią dostatecznie wcześniej, zanim wyda mu się ona tajemnicą. I nie chciałem, by odrzucał ją przez ignorancję, lecz dopiero, gdy pozna. Uspokajałem się też, że jeżeli nawet zafascynuje go religia, to dzięki tej szkole nie będzie to już ortodoksja. Zawsze to lepiej niż gdyby mój syn miał założyć kapotę.

Pytasz, czy obrzezaliśmy go, kiedy się urodził. Oczywiście, że tak. To naturalna konsekwencja bycia Żydem. Że impreza jest obrzydliwa? A co ja mogę na to poradzić? Taki jest los narodowy, że Żyd jest obrzezany. Byłoby bardzo przyjemnie i estetycznie być pięknym Włochem i śpiewać cały czas barkarolę. Nie nosić na barkach całego tego żydowskiego losu, dwóch tysięcy lat prześladowań i zmagania się z nimi. Nie należeć do narodu krzywych ludzi. Byłoby bardzo przyjemnie. Ale los nie jest czymś, co się wybiera. Przeciwnie. Jestem wielkim wrogiem tych, którzy uważają, że odpowiadają tylko za siebie, są sami dla siebie, dziś mogą być jednym, jutro drugim. Jest się tym, czym się jest. I jeżeli to wymaga tego typu poświęceń jak obrzezanie — trudno.

Dla mnie obrzezanie dziecka było okropne w tym sensie, w jakim okropny jest każdy tego typu akt. Barbarzyńskie. Absurdalne. Czemu właśnie w ten sposób podkreślać sytuację żydowską? Nie mam oporów psychicznych przeciw temu, żeby już u progu życia nastąpiła deklaracja przynależności do żydostwa. Ale dlaczego to musi być takie barbarzyńskie?!

Musi. Bo taki jest wymóg religii.

Czy mógłbym mieszkać tutaj, być Żydem i nie zrobić tego? Nie mógłbym. Niezrobienie tego jest nielogiczne, bo bez tego nie jesteś żadnym Żydem. Na tym właśnie polega to nasze uwikłanie w religię. W diasporze odejście od religii oznaczało asymilację, a asymilacja całkowite wtopienie się w obcą kulturę. Tu, w Izraelu, funkcjonujemy podobnie do zasymilowanych Żydów z diaspy, ale w przeciwieństwie do nich zostawiamy sobie niezbędne elementy żydostwa. Ja nie wkładam jarmulki w żydowskie święta. Ale jeżeli chodzi o obrzezanie...

Tak, ja bardzo chciałbym być świeckim Żydem w Izraelu. Ale okazuje się, że nie można. Może j e s z c z e nie można. Próbą stworzenia świeckiego

narodu żydowskiego był syjonizm – powrót do ziemi, praca, rola. Ale próba ta nie była na tyle rewolucyjna, żeby wyrzucić religię. Religia utrzymała Żydów przez dwa tysiące lat. I na przekreślenie tego nikt na razie nie ma odwagi.

Może z czasem, gdy jako naród stworzymy dostatecznie wiele dóbr duchowych nie wynikających z religii – może wtedy uda nam się dojść do świeckości. Na razie jednak znajdujemy się na zupełnie innym etapie. Jesteśmy biednym, prowincjonalnym krajem wciągniętym w bardzo pospolity, w gruncie rzeczy, konflikt bliskowschodni. Jednocześnie mamy świadomość zupełnie nieadekwatną do lokalizacji geograficznej. Mamy świadomość bogatego i zaawansowanego państwa. Mamy nowoczesną, liberalną i postindustrialną *middle class*. Interesujemy się problematyką Manhattanu, Londynu, Paryża; izraelski inteligent czyta prasę amerykańską i europejską, pasjonuje się tym, czym się pasjonuje Żyd z Zachodu.

No właśnie. Nasze elity intelektualne ciągle jeszcze są izraelskim odziałem żydowskiej diaspory. To nie jest sytuacja dająca narodowi niezależność duchową. To nie jest sytuacja pozwalająca na rezygnację z religii jako wartości identyfikowanej z żydostwem.



Nadal nie dotykamy podstawowego tematu. Tymczasem osiłą tej rozmowy powinna być wojna siedemdziesiątego trzeciego roku. Wojna Jom Kippur – podstawowy uraz, trauma polityczna Izraela. Również i moja trauma.

Ona sprowadziła nas z powrotem na łono żydostwa. Co to jest żydostwo? To sytuacja, w której dziś masz wszystko, a jutro wszystko mogą ci zabrać. Po raz pierwszy od wojny czterdziestego ósmego roku nad Izraelem zawisło niebezpieczeństwo fizycznej zagłady lub przynajmniej zniszczenia państwa. Siedemdziesiąty trzeci rok powiedział: „W najlepszym wypadku będziemy żyli jak pokerzyści, w najgorszym – wszystko może się zdarzyć”.

Po wojnie sześciodniowej Izraelczycy byli pijani sukcesem. Kiedy tu przyjechałem, w powietrzu ciągle unosiła się ekstaza. Zwycięstwo było tak wielkie, że ten naród, cały czas dążący do osiągnięcia stanu normalności, przeskoczył ten stan. Pozycję neurastenicznego intelektualisty zamienił na pozycję supermana. Do sześćdziesiątego siódmego roku cały czas próbował się prostować. Osiągał sukcesy, ale okupione ogromnym wysiłkiem. Po sześćdziesiątym siódmym zaczął chodzić na czubkach palców. Falszywe poczucie wszechmocy. Co zechcemy, to zrobimy. Jesteśmy wielkim, silnym i nieskończenie mądrym narodem. Udowodniliśmy, że mały może przesunąć górę i teraz wiemy, że wszystkie góry są przesuwalne.

Mieliśmy przekonanie, że mały Izrael określi to, czym będzie Bliski



Wschód. Trafiliśmy na pierwszą scenę polityki światowej i poczuliśmy się na niej głównymi aktorami, zapominając, że są tam też inni.

Czy ja w tej ekstazie uczestniczyłem? Pewnie, że uczestniczyłem! Wszyscy w tym uczestniczyli, wszyscy temu ulegali! Intelktualnie miałem oczywiście do tej euforii zastrzeżenia, ale nawet ja mówiłem: „Rzeczywiście, góry zostały przesunięte!”.

W jakimś sensie człowiek staje się więźniem własnej percepcji. Człowiek i naród. Przestaje dostrzegać granice swych możliwości. Niby je widzisz, ale przekonanie o twojej mocy szeptem ci: „Przecież zrobiliśmy znacznie większe rzeczy”.

Siedemdziesiąty trzeci rok pokazał, że jak wysoko latasz, to z wysoka spadasz. Myśmy wtedy nie tylko upadli. Myśmy upadli na twarz! Potem potrafiliśmy jakoś wstać, ale przy okazji pokazaliśmy światu, że w ogóle padamy. A przez poprzednie sześć lat mieliśmy poczucie, że padanie nas nie dotyczy.

Jak wybuchła wojna Jom Kippur? W Jom Kippur, dzień żydowskich zaduszek.<sup>17</sup> Wtedy, jak zawsze tego dnia, życie całkowicie zamarło, nic nie jeździło. Śpię, dziesiąta rano, nagle samoloty. W Jom Kippur?! Zwariowali! Wojsko w Izraelu jest podporządkowane wymogom religijnym, nie ćwiczy w zwykły szabat, a co dopiero w Jom Kippur!

W południe zaczął się jakiś ruch, koło drugiej zobaczyłem wojskowe ciężarówki na ulicach, wyszedłem na klatkę schodową, ludzie coś gadali (to jest Izrael, tu wszyscy są na kupie!), wróciłem do domu, włączyłem radio...

Podawali, że Egipt i Syria zaatakowały. Jest koncentracja wojsk, mobilizacja. Szły tylko komunikaty i muzyka, oprócz tego włączały się radiostacje wojskowe przekazujące sygnały mobilizacyjne. Czytali to jacyś ludzie, którzy w ogóle nie umieli czytać. Źle było słyhać. Miało się poczucie, że coś nie gra, że kręcą, że jest jedna wielka improwizacja!

W pewnym momencie włączyli w całym kraju syreny alarmowe. Na wszelki wypadek. Masz pojęcie, co za burdel?! Cały mechanizm państwa wpadł w panikę! Syreny wyły piętnaście minut, wszyscy myśleli, że to prawdziwy alarm lotniczy, myśmy nie mogli się dostać do schronu, bo nie było klucza, a kiedy w końcu wylamaliśmy drzwi, okazało się, że schron jest zawalony śmieciami pod sufit...

Zaczęli mobilizację. I znowu bałagan! Jednych mobilizowano, drugich nie, ci nie zmobilizowani nie wiedzieli, czy sami mają iść do swoich jednostek, czy czekać. Ruchu nie było, ciągle jeszcze trwał Jom Kippur, więc jeździć – nie jeździć, czekać, jechać własnymi samochodami? A poza tym bardzo nieprzyjemne uczucie: strach. Widzisz, że jest wojna, potworne zamieszanie i czujesz wyraźnie, że cię złapali bez majtek. Jak o drugiej zaczyna się wojna i o drugiej zaczyna się mobilizować armię (a wszyscy wiedzą, że w tym kraju

armia musi być zmobilizowana trzy dni wcześniej, bo inaczej armii nie ma, bo ona opiera się w dwóch trzecich na cywilach-rezerwistach)... Więc jak trzech dni nie ma, jak nie ma nawet dziesięciu minut...

Kanał został zdobyty i Syryjczycy przeszli całą granicę na wzgórzach Golan. Jednocześnie informacja była okropna! Niejasna. Dawała poczucie, że jest niedobrze, a nie niosła żadnych konkretów. Przemówiła Golda. Przemówił Dajan.<sup>18</sup>Dajan był tak minorowy, że można było dostać narodowego bólu brzucha!

Poleciliśmy z żoną do znajomych. Lgnęło się do ludzi, bo było bardzo nieprzyjemnie. Na ulicy bieżanina, krzyki: „Gaście światła!” — żeby było pełne zaciemnienie. I ogólny strach. Ale też poczucie: „Okay, złapali nas bez najmtek, będzie parę ciężkich dni, ale pozbieramy się i staniemy na nogi”. Niestety. Mijały dni i ani trochę nie stawaliśmy na nogi.

Mnie nie zmobilizowali. Byłem wtedy, jako student, przeniesiony do rezerwy akademickiej i właśnie parę dni wcześniej doręczono mi powołanie do wojska z terminem za pięć tygodni. Drugiego dnia wojny pobiegłem do mojej jednostki — a ci biurokraci, jakby nigdy nic: „Wszystko wiemy, wszystko w porządku, wracaj do domu, czekaj na rozkazy”. Nic nie mogłem zrobić. W ogóle nic nie mogłem zrobić! Uniwersytet właściwie przestał działać, wróciłem do domu, może jednak przyjdą, czekałem dzień, dwa, wyobrażasz sobie, co mogłem czuć?!

Trzeciego dnia poszedłem do fabryki farmaceutycznej, w której przed studiami pracowałem jako robotnik. Pozwolili mi się tam zatrudnić. Coś robić. Załadowywałem reaktory chemiczne, rozładowywałem reaktory chemiczne, zakręcałem krany, odkręcałem krany.

W kraju bałagan nieprawdopodobny. Wielu ludzi zmobilizowanych siedziało w jakichś bazach i nie robiło nic, bo nikt nie wiedział, co mają robić. Izrael miał gdzieś amunicję, ale nie była zewidencjonowana, a jak się nie wie, gdzie coś jest, to tego czegoś nie ma. Koce i kurtki dla wojska też były schowane cholera wie gdzie. Amerykanów wpędziliśmy w panikę, każąc sobie dostarczać amunicję, a kiedy potem byłem na Synaju (bo w końcu mnie zmobilizowano), to Amerykanie musieli nam dosyłać koce i kurtki, bo była zima, a myśmy mieli tylko letnie mundury. Po wojnie sześciodniowej nasza armia widać uznała, że wojny w Izraelu będą tylko latem.

Najbardziej mnie wkurzało, że ta wojna jest niepotrzebna. Toczyła się o cele, które można było osiągnąć i bez niej. Gdyby nie polityka Goldy i Dajana, ich odmowa oddania jakiegokolwiek terytorium! Byłem też wściekły, że Arabom się udało. Oni przecież po wojnie sześciodniowej byli przekonani, że nas nie można pokonać! Uderzyli nie po to, by zwyciężyć (o tym nawet nie śmieli śnić), lecz żeby — nawet za cenę ogromnych strat — nie



dopuszczyć do tego, by Izrael mówił: „Zdobyliśmy i na razie przez najbliższe sto lat nie chcemy na ten temat rozmawiać”.

To im się udało. Udało się nawet więcej. Zobaczyli, że jeżeli nawet my tę wojnę ostatecznie wygramy, to jedną rzecz straciliśmy na pewno: siłę odstraszenia, *image* militarnego supermana. Wszystkim pokazaliśmy, że, po pierwsze, można nas niemal powalić, a po drugie, że potrafimy robić grube błędy, tak samo jak inni, że można nas zaskoczyć, tak samo jak innych, że jesteśmy po prostu zwyczajnymi ludźmi. Poza tym wyszło na jaw, jak wielka była nasza zależność polityczna. Myśmy już po paru dniach wojny pobiegli do Amerykanów wołając o zawieszenie broni! Te wołania były publiczne, wszystko działo się na forum Rady Bezpieczeństwa...

Byłem wtedy dopiero czwarty rok w Izraelu, dopiero zaczynałem czytać gazety, bardzo mało rozumiałem — ale wiedziałem jedno: że jest potworny wstyd. Gdybyśmy przedtem tak nie podskakiwali, teraz wciąż byłibyśmy bohaterami. Bo po paru tygodniach stanęliśmy jednak na nogi i dużo zostało zrobione. Ale ponieważ powiedzieliśmy, że nie możemy się pośliznąć i mamy najlepszą armię na świecie...

Naród był zupełnie złamany. Wszyscy dookoła mieli poczucie, że byliśmy o krok od zguby i ratunek zawdzięczamy bohaterstwu nielicznych. Kontrast między wielkością tego, co jedni zrobili a nicością tego, co zrobili inni, był tak ogromny! Nie dotyczy to tylko armii izraelskiej, ale całej polityki — jak to było robione, w jaki sposób kierowane, straszne, straszne! Izrael do dziś żyje w cieniu tego wielkiego szoku.

W czwartym albo piątym tygodniu wojny, już po zawieszeniu broni, zostałem zmobilizowany i wysłany do obozu na okres rekrucki. Trafiłem tam do zwartej grupy, złożonej z nowych emigrantów, na ogół studentów, niezupełnie już młodych, głównie z Rosji i Ameryki. Po czterech tygodniach przeniesiono nas do innego centralnego obozu i wyselekcjonowano według zawodów. Ja, jako inteligent, znalazłem się w zespole zajmującym się obliczeniami. Tam weszła cała inteligencja obozu, cała śmietanka — i była fantastyczna atmosfera.

Bardzo zbliżyliśmy się do siebie wszyscy. Było wielu Amerykanów, z Ameryki Południowej też, dużo emigrantów z Europy Wschodniej — wszystko to ludzie absolutnie pierwszej jakości! Przyjechali do Izraela z dobrej woli, przyszli do wojska na ochotnika i jeszcze nie zapomnieli, o co naprawdę chodzi (w wojsku normalnie po pięciu minutach człowiek zapomina, o co chodzi — wydaje mu się, że tylko o to, żeby sierżant był zadowolony).

Nasz obóz leżał między Jerozolimą a Tel Awiwem. Zaprzyjaźniłem się z dwoma kolegami — emigrantami z Polski i Rosji — i każdej nocy dawaliśmy z tego obozu dęba. Do żon. To było strasznie męczące, bo docieraliśmy do nich około jedenastej, dwunastej, potem trzy godziny snu — i do obozu, z



powrotem, żeby rano wrócić nie zauważonym. Kiedy kurs się skończył, mnie z dwójką przyjaciół skierowano do tej samej jednostki. Udało nam się być razem. Udało się podwójnie – wysłali nas do Egiptu, a nie na wzgórze Golan, gdzie zaczynała się wojna na wycieńczenie i były wielkie ofiary. Właśnie nadchodziła zima, na Golanie w czasie zimy strasznie się marznie, za to w Egipcie było ciepło, zawieszenie broni. Egipt nas zresztą interesował, chcieliśmy zobaczyć Kanał, przejść na drugą stronę...

Kanał to było coś zupełnie niesłychanego. Porozkopywane drogi, rozorane fortyfikacje, niesłychana ilość zniszczonego sprzętu – księżycowy krajobraz! I te zmarnowane, zainwestowane kiedyś w to wszystko miliardy! Przedostaliśmy się na drugą stronę po moście pontonowym – i to już był Egipt.

Nasza jednostka stała na południu. Sceneria była tam taka, że aż trudno sobie wyobrazić. Płaskowyż, ogromne, przepiękne góry, czerwone wieczorem od słońca, w pobliżu kanał słodkiej wody, tropikalna roślinność. To było jak sen. Albo jak wakacje. Tam był front, który stał, czytaliśmy sobie gazety... tak, w jakimś sensie miałem poczucie wakacji. W dobrym towarzystwie.

W Egipcie byłem dwa miesiące, potem przenieśli całą naszą trójkę do obozu wojskowego, w którym już, niestety, trzeba było trochę popracować (my byliśmy od konserwacji sprzętu). Potem trafiłem do jeszcze jednego obozu w centrum Izraela, gdzie o czwartej, piątej kończyliśmy pracę i legalnie jechaliśmy do domu – i tak dotrwałem do końca wojny. Dotrwałem *de luxe*.



Moja prywatna wojna Jom Kippur była całkiem do przeżycia. Ale w planie ogólnonarodowym była to wojna straszna. Z poważnymi psychologicznymi konsekwencjami. Ona na powrót wtrąciła ludzi w dawne, głębokie poczucie niepewności. Poczucie, o którym już po wojnie sześciodniowej zdołano zupełnie zapomnieć.

Wojna sześciodniowa była pierwszym izraelskim zwycięstwem wynikającym z funkcjonowania normalnego narodu i nowoczesnej armii. Przedtem Izrael też odnosił sukcesy. Wojna czterdziestego ósmego roku zakończyła się sukcesem. Ale to była niejako ostatnia barykada tych, co uciekli przed Holocaustem i nie chcieli więcej umierać i przegrywać. W wojnie sześciodniowej natomiast brało udział pokolenie wychowane w Izraelu. Ono o Holocaustie nie zamierzało pamiętać.<sup>19</sup>

Przed Holocaustem większość Żydów chciała żyć w diasporze. Ideę syjonistyczną uważali za nacjonalistyczny partykularyzm. Skłaniali się ku asymilacji i dążeniu do przewyciężenia barier narodowych. Holocaust zakwestionował sens takiej postawy. Pokazał, że, żeby nie wiem jak daleko pójść w kierunku asymilacji, to i tak byt żydowski będzie się jawił jako nienaturalny. Nienaturalny nie dlatego, że Żydzi odmawiają włączenia się w główny nurt

życia europejskiego. Nienaturalny dlatego, że Europa ich nie chce. Nie chce włączenia się Żydów na żadnych warunkach.

Po Holocauście rozwiązanie syjonistyczne stało się dla naszego istnienia czymś oczywistym. I od czterdziestego piątego roku mamy świadectwo dążenia do budowania nowej żydowskiej świadomości, nowego żydowskiego *image*. Przedtem nasz obraz był taki, że potrafimy być szewcami, sklepikarzami, adwokatami i lekarzami, ale nikt z nas nie potrafi być na przykład hutnikiem. Teraz pojawiły się nowe wartości, nowy etos: wziąć sklepikarza, przegonić go przez pole, żeby mu się kręgosłup wyprostował, zrobić z niego chłopca albo robotnika i dać karabin do drugiej ręki.

Etos ten zaczął funkcjonować w Palestynie w latach trzydziestych i nałożył się na inny etos – industrializacji. Widziałeś tu w muzeum w Tel Awiwie plakaty z lat trzydziestych, z ich niesamowitą estetyką socrealistyczną, która wyrażała całą tę mitologię industrialną. To nawadnianie pustyń, monstrualnej wielkości tamy, tysiące ludzi machających łopatami w jednym rytmie – kolektywizm industrialny. Wszyscy temu ulegli. Czy to był Egipt Nasera, czy Izrael Ben Guriona<sup>20</sup> – oba te kraje chciały budować huty, mieć własną flotę handlową i fabryki samochodów.

Z tego kolektywizmu industrialnego wyrosła potem częściowo estetyka i ideologia państw totalitarnych. Tu na szczęście nie. I różnica między Nową Hutą w Krakowie i w Izraelu jest taka, że Izraelowi nikt tej Nowej Huty nie narzucił. W Izraelu budowanie Nowej Huty łączyło się z budowaniem nowego Żyda. Z udowadnianiem światu i sobie, że Żyd t e ż potrafi zbudować hutę. Kiedy ja przyjechałem, żyło tu jeszcze całe pokolenie wychowane na tych wartościach. Było poczucie oddychania pełną piersią, bycia wyprostowanym i robienia tego, co się chce.

Po wojnie Jom Kippur to się skończyło. Nastąpiła ogromna utrata wiary. Naród popadł w drugą skrajność: upojenie własną siłą zamienił na przekonanie, że cokolwiek robi, jest złe. Ludzie stali się podejrzliwi wobec każdego dzieła ich rąk, zaczęli idealizować obce kraje, obcą produkcję i teraz chwałą cudze, nawet kiedy obiektywne różnice są na naszą korzyść.

Ta huśtawka autopercepcji to stara żydowska choroba. Nam nigdy nie udało się stwierdzić, czym tak naprawdę jesteśmy. Jesteśmy tym, co widzimy w lustrze. Czterdzieści lat temu byliśmy bandą owiec prowadzonych na rzeź (taka była światowa interpretacja Holocaustu), potem grupą pionierów, silną, ale małą i naiwną, która nie rozumiała, czym naprawdę jest wielki świat (tak odbierano nasze budowanie państwa Izrael), w sześćdziesiątym siódmym roku byliśmy wielcy i mocni, bośmy z tych pionierów wyrosli, a siedemdziesiąty trzeci rok pokazał, że już woda sodowa nam do głowy uderzyła i jesteśmy nawet gorsi niż inni, bo nie potrafimy widzieć siebie w sposób realistyczny.



To zupełnie paranoiczne. Z jednej strony chcielibyśmy być tym, czym jesteśmy, z drugiej – tacy, jak oczekują tego od nas inni. Oceny świata są dla nas bardzo ważne. Przed krytyką bronimy się w sposób agresywny, nadmiernie eksponujemy swoją niezależność. Na pewno słyszałaś tu odzywkę w rodzaju: „W Chinach strzelają, to nic, w Tbilisi, to nic, a jak u nas się jednego Araba pobije, to od razu krzyk na cały świat!”. Nasze ciągłe konfrontowanie się ze światem, przekonanie, że cokolwiek zrobimy, świat i tak nie będzie zadowolony, wynika z głębokiego poczucia niepewności. Ów słaby punkt świetnie przeciwko nam potrafią wykorzystać Arabowie. Oni wiedzą, że powiedzieć nam, że my jesteśmy faszystami, to boli, że jesteśmy zwierzęta, bo chcemy ich ziemię, ich pieniądze, ich robotę – to boli. Bo przecież my, doświadczeni Holocaustem, tyle pieniędzy wydaliśmy na nasze demokratyczne struktury, chcemy je utrzymać, być szlachetni, popularni, mamy potrzebę, żeby nas kochano...

Oni tego nie potrzebują. Bo nie mają problemu z własną identyfikacją.

Mnie bardzo dotknął powrót tej żydowskiej neurastenii. Przyjechałem tu po to, żeby się od niej uwolnić. I widziałem taką możliwość. Prowincjonalizm Izraela, jego lewantynizm, kosmiczna fuszerka wszystkiego – to były małe rzeczy w porównaniu z wartością jasnej identyfikacji. Po siedemdziesiątym trzecim roku ta wartość już przestała mi napędzać energię. Zaczęłem dostrzegać żydowską neurastenię. U siebie i u innych. Także w młodym pokoleniu, wychowywanym dotąd w przekonaniu, że sobie poradzimy. Po wojnie Jom Kippur młodzi ludzie na to przekonanie już nie mogli sobie pozwolić.

Jednym z podstawowych tematów tamtych miesięcy było: zostać – nie zostać. O tym rozmawiało się w wojsku i wszędzie. To dotyczyło wszystkich. W żydowskiej mentalności bardzo głęboko zakorzenione jest przekonanie, że naszym obowiązkiem wobec samych siebie jest uprzedzać niebezpieczeństwo. I mimo że w Izraelu urodziło się i wychowało nowe pokolenie pozbawione tych obciążeń, okazało się, że odruch szukania alternatywy na zewnątrz jest w nas wciąż silny. Ojciec szukał nowego kraju, dziadek szukał, wszyscy szukali, zna się ludzi, którzy szukali – i ta mobilność, gotowość do mobilności jest naturalna.

Po siedemdziesiątym trzecim roku nastąpił duży skok w wyjazdach. Złamana została bariera psychologiczna. Przedtem wyjazdy były rzeczą możliwą, lecz moralnie niedopuszczalną. Teraz wyjazd już nie pozbawiał honoru. Było poczucie, że nie wiadomo, co będzie. Oblicze poniesionej klęski, świadomość, że klęska znowu może się zdarzyć, że mieliśmy zaledwie szczęście, że zarówno nasza wygrana, jak i przegrana wisiały na włosku... Wszystko uległo wtedy przewartościowaniu. Cały system runął i trzeba było budować od początku. Każda wartość została podważona. Wszyscy na nowo musieli dokonywać rachunków.



Jeżeli siedemdziesiąty trzeci rok był dla naszej mentalności trzęsieniem ziemi, to wojna libańska pograżyła nas psychicznie całkowicie. Państwo Izrael odmówiło wtedy uznania realiów – regul historii mówiących, że każdy naród (więc i naród palestyński) ma prawo do samostanowienia. I że nie istnieje siła mogąca powstrzymać dążenia narodowe.

Granica libańsko-izraelska od momentu wypędzenia Palestyńczyków z Jordanii<sup>21</sup> była podstawowym frontem, na którym toczyła się wojna między Al Fatah i Izraelem. Palestyńczykom udało się zdestabilizować Liban, w którym nie było silnej struktury centralnej ani militarnej, i zdobyć tam sprzymierzeńców wśród grup muzułmańskich. Granicę zaczęły przekraczać palestyńskie grupy partyzanckie.

W osiemdziesiątym drugim roku nasze wojska weszły do Libanu, żeby ochronić północną granicę. Lecz gdy po paru dniach zdobyto południowy Liban i można było na tym skończyć kampanię, bo cel został osiągnięty, okazało się, że armia izraelska ma znacznie ambitniejsze plany. Poszła aż pod Bejrut. Po prostu! I przez dwa miesiące telewizje całego świata pokazywały nas, jak pod Bejrutem strzelamy do ludności cywilnej!

Rząd izraelski nigdy nie postanowił, że idzie zdobywać cały Liban. Ale armia oszukiwała rząd i stawiała go przed faktami dokonanymi. Kiedy jednak doszło już do tego, że stoimy pośrodku Libanu... Jak można było udawać, że nie wiadomo, co się stało? Jak rząd mógł wtedy nie podejmować żadnych decyzji?! A tak było. Stanęliśmy w środku Libanu i zamiast coś przedsięwziąć – zdobywamy Bejrut albo odchodzimy – zaczęliśmy „tylko” ostrzeliwać miasto. Jeszcze raz fuszerka! W ogóle nie powinniśmy tam być!

Ja oczywiście uważałem, że ta wojna jest niepotrzebna, bo niczego nie może zmienić. Ale skoro już znaleźliśmy się w Libanie, żeby go zdobywać, należało to zrobić szybko. Nawet gdyby to miało być brutalne i bolesne! Tymczasem stało się najgorsze: wyszliśmy z tej wojny brudni moralnie, bo zdecydowaliśmy się strzelać do ludności cywilnej, a nie osiągnęliśmy niczego, bo nie zdecydowaliśmy się strzelać na taką skalę, jak trzeba było.

Od tego czasu zmienił się w Izraelu stosunek do własnych ofiar, do poległych. Myśmy troszkę zdrętwieli, zubożeli. Dawniej każda ofiara bolała wszystkich, miała sens i była składana w imię celów, z którymi wszyscy się identyfikowali. Dzisiejsze ofiary też boją. Ale stały się częścią rzeczywistości, zostały zaakceptowane. Izrael własnymi rękami dokonał dewaluacji ludzkiej ofiarności. Żądał zbyt wielkiego zaangażowania i teraz ludzie stali się obojętni. Kredyt został zmarnowany.

Siedem lat temu, kiedy zaczęła się ta cała afera z Libanem, a także teraz, gdy jest intifada, ja to wszystko regularnie odchorowuję. Regularnie! Bo

pozwoliliśmy wyrosnąć czemuś, co nie miało prawa zaistnieć. Daliśmy się wpędzić w scenariusz, nad którym już nie panujemy. Jeden naród jest pod okupacją, drugi naród prowadzi okupację. Nieważne już zupełnie dlaczego i jak, właściwie nikt na dobrą sprawę nie pamięta, o co chodziło – została okupacja. Okupacja, która od dawna ma swą własną dynamikę, niezależną od pierwotnych przyczyn.

Moje nieszczęście polega na tym, że ja rozumiem, a nie bardzo się identyfikuję. Uważam, że pewne rzeczy nie powinny się stać: Liban, intifada. Lecz jeżeli już się stały, trzeba to rozwiązać fachowo i zdecydowanie. Gdy dochodzi do powstania, należy zgodzić się na żądania powstańców lub powstanie zlikwidować. Najgorsze jest to, co jest – ani się nie likwiduje, ani nie ustępuje. Nawet złą rzecz można zrobić dobrze! My robimy ją źle. Jesteśmy niefachowymi i niepotrzebnymi okupantami.

Ja bardzo chciałbym wierzyć młodzieży lewicowej: „Tylko skończmy tę okupację i będziemy mogli kochać jedni drugich”. Ale przecież nie można udawać, że przeszłości w ogóle nie było! Że nie ma skutków dwudziestoletniej okupacji. Że nie ma konfliktu klasowego (przecież nasi pracownicy fizyczni to wyłącznie Arabowie!). I że nie ma tego podwojonego liczebnie narodu arabskiego. Jest. I jest strasznie dużo zaszłości i nienawiści.

Prawica twierdzi, że jeżeli się ustąpi, nie będzie można obronić Izraela. Lewica twierdzi, że jeżeli się nie ustąpi, nie będzie można obronić Izraela. Obie strony są chore widząc, że rzeczywistość nie idzie w kierunku ich pragnień. A ja jestem chory najbardziej, bo wiem, że nieustępowanie, jak chce prawica, jest niemożliwe, a ustąpienie, jak chce lewica, też ma swoje niebezpieczeństwa.

Tu nie ma recepty, a trzeba działać, bo nic-nierobienie też jest robieniem. Więc musimy próbować dogadać się z Arabami. I wierzyć, że się uda. Może się tak potoczyć, że się nie dogadamy. Jedno jest pewne: ruch narodowy jest nie do powstrzymania.



Cały czas mówiliśmy o polityce. A przecież ona jest tylko częścią. Są inne sprawy: studia, praca, małżeństwo, ludzie.

Moje jerozolimskie środowisko studenckie było środkowo-wschodnio-europejskie. Raczej ciekawe. Lecz mimo to odczuwałem pewien niedosyt. Spędzone w Polsce lata stanowiły dla mnie czas towarzysko niesłychanie atrakcyjny. Bo ogromna struktura harcerska, w której byłem centralną osobą, w miarę upływu lat stała się strukturą paratowarzyską. A potem doszedł jeszcze do tego Marzec, kiedy to poznałem więcej osób, niż mógłbym poznać w całym swoim życiu.

W Izraelu znalezienie tak szerokiego środowiska zdecydowanie mi się nie udało. Z czasem osiedliśmy z żoną w grupie polskich przyjaciół, bardzo



cieplej, złożonej z ludzi, którzy w Izraelu znaleźli się bez rodziców — i znani byliśmy z tego, że funkcjonujemy prawie jak rodzina. Mnie ciepło tego naszego środowiska odpowiadało. Niemniej przeszkadzał mi jego brak dynamiki. Przeszkadzało mi, że nie stanowi ono dla mnie inspiracji intelektualnej.

Ale tak to zwykle bywa z losem. Pan Bóg jedną ręką daje, a drugą zabiera. Przyjechałem tu dlatego, że chciałem. Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że jestem we właściwym miejscu i żyję właściwym życiem. Bez podwójnej identyfikacji. Każdego dnia miałem z tego coraz większą przyjemność. Ale jednocześnie moje życie ciągle nie chciało być niczym więcej, niż tylko możliwością bycia wielkim życiem. W Polsce, będąc nie na swoim miejscu i robiąc rzeczy, które nie do mnie należały, robiłem je na dużą skalę i z wielkim sukcesem. Miałem poczucie, że to jest coś, co zostaje. Tymczasem tu... No cóż, mam wrażenie, że to, co tu przez te dwadzieścia lat robię, służy wyłącznie temu, bym powiększył swoje zarobki o dodatkowe parę groszy.

Myślę, że trochę nie miałem szczęścia. Sprawy duże i małe często człowiekowi stają na drodze przez przypadek. Mnie nie zdarzyła się sytuacja, która mogłaby uczynić ze mnie coś wielkiego. W jakimś sensie w Polsce byłem trochę szczęśliwszy, bardziej się realizowałem. Tu zszedłem na boczny tor i z tego nie udało mi się już wyrwać.

Muszę ci zresztą powiedzieć, że nie jestem w tym osamotniony. Niewielu ludziom z mojej emigracji coś się naprawdę udało. Poza naukowcami — a nauka to świat międzynarodowy, zunifikowany — inni niedużo zdziałali. Rzadko kto potrafi emigracji dokonać natychmiast, podczepić się pod bieg wydarzeń, nie tracąc dziesięciu, dwudziestu lat. Myśmy nie zabłyszneli dlatego, że zabrakło nam tych lat. W Izraelu, w Szwecji, w Ameryce. Dziś mam poczucie, że już wiem, że potrafiłbym zrobić coś więcej ...

Pytasz, co zostało z mojego polskiego środowiska w Jerozolimie. Powiem ci rzecz banalną: prawie w całości przeniosło się do Waszyngtonu. Tak, to się ciągle powtarza. Ciągłe ktoś wyjeżdża. Na początku każdego wyjeżdżającego traktowałem jak osobistego wroga. Niby rozumiałem motywy tych ludzi — trafili tu tylko dlatego, że w Polsce na siłę zrobiono z nich Żydów, nie bardzo się orientowali, gdzie przyjeżdżają i po co, oczekiwali jeszcze jednego nowoczesnego państwa europejskiego, a znaleźli lewantyński kraj i nie byli w stanie go chcieć. Rozumiałem to wszystko. Ale...

Moi rówieśnicy z Polski mieli jeszcze jeden powód do wyjazdu: nie mogli zaakceptować faktu, że utracili elitarną pozycję. Tutaj trzeba było przestać być elitą. Oni byli inteligentni, szybko zdali sobie sprawę, że to nie Paryż ani Londyn, szybko wyciągnęli wnioski. Jak ja tu w sześćdziesiątym dziewiątym roku przyjechałem, wielu z nich miało już spakowane walizki.

Mnie z powodu tych wyjazdów było niesłychanie przykro. Wścickły byłem,



że oni mają pretensje do Izraela o to, że dopiero się buduje i jeszcze nie jest zbudowany, że chcieliby siedzieć w fotelu i korzystać ze zdobyczy cywilizacji, a nie rozumieją, że aby była cywilizacja, stare domy i dobre maniere, muszą na to pracować całe pokolenia!

Z czasem coraz więcej ludzi zaczęło wyjeżdżać — po wojnie Jom Kippur, po Libanie. W końcu stało się to czymś normalnym. Teraz wszyscy mają już kogoś po drugiej stronie. Ja też. Więc musiałem zmienić swój stosunek do tego. Nie można być wrogiem takiej masy ludzi. Zwłaszcza, gdy są to bliscy, rodzina, dobrzy przyjaciele i tak dalej.

Stąd wyjeżdża się nie z przyczyn ideologicznych, lecz dlatego, że jest coraz więcej indywidualnych powodów do wyjazdu. Wyjeżdżają ci, którzy się nie mieszczą, których kariery w Izraelu byłyby niemożliwe. Poza tym ludzie po prostu nie wytrzymują. Chamstwa, prymitywizmu, prowincjonalności, potwornego i niepotrzebnego ścierania się — o głupstwa, o małe rzeczy. Można ideologicznie być „za”, a jednocześnie nie wytrzymywać. Tu wszystko przesiąknięte jest napięciem, agresją! I to pragnienie, żeby uciec stąd gdzieś, w jakieś ciche miejsce, do jakiejś Szwecji czy Kanady — nikogo nie oglądasz, ludzie mijają się bezszelestnie, nie musisz czytać gazet, żyjesz spokojnie swoim życiem...

Ja tu zostałem ze względów ideologicznych. Lecz miewam chwile, kiedy chciałbym uciec, gdzie oczy poniosą. Inni też tak to czują. I sami siebie pytają, czy wyjechać, czy nadal jeść tę żabę. Wiedzą, że jedzą żabę. I że w miarę jedzenia jej przykry smak bynajmniej nie ustępuje. Niemniej jednak zostają. To jest głosowanie nogami.

Co ja myślę o tym, że mój syn niedługo też będzie jadł tę żabę? Gdybym uznał, że dla niego lepiej, żeby go tu nie było, inaczej bym głosował nogami. Co ja będę czuł, gdy on w wieku dwudziestu jeden lat wyjedzie do Ameryki? Zapytaj, co ja będę czuł, gdy on w wieku dwudziestu jeden lat wyjedzie do Hajfy!

Ty zakładasz, że ja teraz wiem, czego będę chciał za ileś lat. A ja tego nie wiem! Fakt istnienia wątpliwości wynika również z tego, że sytuacja w tym kraju się zmienia! Ludzie dziś tu mogą mówić jedno, jutro drugie, cały czas to widzimy. W Izraelu nie ma w ogóle możliwości dokonania wyborów typu: co będzie za ileś lat.

Gdyby on mocą jakichś czarów teraz nagle miał dwadzieścia jeden lat i powiedział, że emigruje? Stąd nikt nie emigruje, moja droga, zapamiętaj to sobie dobrze. Stąd się wyjeżdża, ale paszport zostaje. My jesteśmy Żydzi. Zostajemy Żydami i tu, i tam. Polak, który wyjeżdża do Ameryki, w pierwszym lub drugim pokoleniu staje się Amerykaninem. A jak zmieni nazwisko, to w ogóle nikt nie będzie wiedział, że on kiedykolwiek był

Polakiem. A my będziemy Żydami nadal! Będziemy Żydami pod każdą szerokością geograficzną!

Mówisz, że podziwiasz we mnie jasność identyfikacji. Tak. Przyjechałem tu, aby pozbyć się dualizmu psychicznego i to mi się w zasadzie udało. Udaje mi się cały czas. Ale to nie jest ani za darmo, ani na zawsze. Życie w Izraelu to jest walka. Ze światem zewnętrznym. Bo my jesteśmy częścią ruchu politycznego, który się nazywa syjonizmem. I mamy poczucie, że ważniejsze od tego, co robimy, jest to, że jesteśmy. Jesteśmy częścią ruchu. Żyjemy życiem ruchu. Niektórzy już nie chcą. Przyjaciele nasi, ci, co niedawno wyjechali do Kanady, już nie chcieli. Dwadzieścia lat byli częścią ruchu i już nie mieli ochoty na więcej. Chcieli być sami dla siebie, żyć życiem wyłącznie dla siebie.

Ja tu przyjechałem, żeby być częścią ruchu narodowego. Ale wierz mi: ci, co chcieli, też się w końcu męczą. Niekoniecznie fuszerką. Nawet gdyby to był ruch złożony z samych sukcesów, też byłbym zmęczony. Czym? Byciem częścią ruchu. Też bym chciał czasem wyjechać do Kanady i żyć własnym życiem. A ty nie? Znasz kogoś, kto jest częścią ruchu i by nie chciał?

Zastanawiam się, co sprawia, że tak tu ciągle trwam przy swoim. Nie, to nie jest sprawa komfortu psychicznego. Myślę, że to upór. Konsekwencja. Ideologiczna wierność samemu sobie. Niekoniecznie mająca charakter pozytywny. Można powiedzieć, że to takie niezwykle zeszywnienie, zwapnienie, beton. Tak, betonizacja. Nie ustąpię. Żeby nie wiem co się stało — nie ustąpię.

Rzeczywiście, to nowa rzecz. Jestem zdziwiony, że narasta we mnie taki upór. I niechęć do ludzi, którzy tu nie wytrzymują. Ja ich rozumiem. Ale jednocześnie uważam, że to zdrada. Że osobiście zostałem zdradzony. Bo czuję pustkę po ludziach. Bo zostawiają mnie samego.

To już nie chodzi o walkę o coś, to już nie chodzi o syjonizm. To kwestia wierności. Wszyscy się kiedyś pod ten sam sztandar zaciągnęliśmy i nie uważam, by ktokolwiek miał prawo się zwolnić. Bo zapłatą nie miało być wyłącznie zwycięstwo. Jeżeli to nie są zwycięstwa, lecz klęski, to i tak nadal jesteśmy zobowiązani.

Mamy być wierni ideałom młodości. Śmiejesz się? No tak, to brzmi idiotycznie. I dla ciebie, z komunistycznego kraju, niesłychanie znajomo. Tylko różnica między ruchem komunistycznym a tym tutaj polega na tym, że tam jest utracona wiara, a tu — zmęczenie. Gdybyśmy stracili wiarę, to by nas zwalniało. Ale tu nikt nie stracił wiary. Ludzie wykruszyli się, bo stracili siłę. Ja to rozumiem, są poważne powody do tego, żeby stracić siłę! Ale wierność jest wiernością. Wierność ma być wiernością.

Ludzie miewali tu różne okresy, lepsze, gorsze, mniejsze lub większe zachwiania wiary. Ja zachwiania wiary nigdy nie miałem. Lecz mam poczucie, że żyję ze zdartą skórą. Że byle głupstwo potrafi mnie ukłuć. Poza tym

— to paradoks — wszyscy jesteście strasznie zmęczeni, a obiektywna sytuacja jest lepsza niż była. Bo w jakimś sensie dociągamy do brzegu. Do brzegu, który chcieliśmy osiągnąć: zbudować państwo i zakotwiczyć je na Bliskim Wschodzie. Coś, co dziesięć lat temu wydawało się absolutnie niemożliwe, dziś jest bliższe niż kiedykolwiek.

Dociągamy do brzegu. Jest szansa. Lecz ci, co się na tej wodzie utrzymali, są tak potwornie wymęczeni! Pięć wojen w ciągu czterdziestu lat. Pięć wojen! A materiał od początku nie był bardzo mocny. To państwo nie jest zbudowane z Finów czy ze Szwedów. Lecz z materiału niesolidnego, pełnego wątpliwości, zastrzeżeń, klótliwego, niezdyscyplinowanego...

Nieważne, dopływamy. Absolutnie wyczerpani. Znaczna część potonęła po drodze z utraty sił, poszła na dno — kanadyjskie czy jakieś inne — a ci, którzy dopływają, to są już półtrupcy.

Nieważne, dopływamy. Wciąż jeszcze ciągniemy. Trzeba jeszcze jednego małego wysiłku i można będzie odpocząć. Tylko jednego małego wysiłku.

I można będzie odpocząć.

---

Marek ze względów osobistych zastrzegł sobie prawo do anonimowości. Zmienione też zostało jego imię.



## Bez przygotowania

Jak miałem siedem lat, umarła moja matka. Zostałem z babką. Ojciec, który wtedy mieszkał oddzielnie (bo rodzice byli w separacji), chciał mnie wziąć do siebie, ale babka się nie zgodziła i był proces sądowy między nimi. Kiedy mnie w sądzie zapytali, u kogo chcę być, powiedziałem, że u babki. „Dlaczego?” – „Bo ojciec to Mosiek, proszę Wysokiego Sądu.”

Przez wszystkie lata w Polsce byłem związany z Kościołem. Brat mojej babki był proboszczem, na moich chrzcinach był sam biskup, miałem komunię, bierzmowanie, chodziłem na religię. Mój ojciec (kiedy zamieszkałem z nim po śmierci babki) patrzył na to przyjaznym okiem. Chyba chciał, żebym czuł się w Polsce jak Polak. Dlatego nie przypominał mi o moim żydowskim pochodzeniu.

Kiedy wybuchła wojna sześciodniowa, byłem w siódmej klasie. I akurat pierwszy raz uciekłem na węgry. Siedziałem w parku na ławce, ktoś obok miał włączony tranzystor „Szarotka”, właśnie podawali, że tam zaczęła się wojna. „O, ho ho, Żydki idą na Kair” – tak to sobie skomentowaliśmy.

Izrael znaczył dla mnie wówczas mniej więcej to samo, co Wietnam. Egzotyczny, na ustach świata i nic mnie z nim nie łączyło. Chyba, że znaczki. Nawiązałem wtedy kontakt z jednym z moich wujków, który tam mieszkał jeszcze od lat trzydziestych i poprosiłem, żeby mi je przysłał.

Kiedy zaczął się Marzec, myślałem, że to jakieś starcie między Kościołem a partią. Miałem wtedy piętnaście lat, pamiętałem aferę w związku z „listem biskupów”<sup>22</sup> i pamiętałem, że jak w sześćdziesiątym szóstym przyjechał do naszego miasta w Boże Ciało kardynał Wyszyński, to nam w szkole zorganizowali dzień sportu, a potem obowiązkowe spotkanie z Przymanowskim i „czterema pancernymi”. Sądziłem więc, że to znowu jakiś podobny wątek. Kiedy jednak w końcu dotarło do mnie, że to co innego, że jest jakaś kampania antysemicka, byłem nawet trochę zadowolony. Myślałem sobie, że tak powinno być. Bo jeżeli Żydzi byli w UB, jak mi mówiła moja babcia...

Pamiętam przemówienie Gomułki z 19 marca. O syjonistach. Że syjoniści do Syjamu czy do Dajana. Wtedy nikt nie wiedział, co to są syjoniści. Mój ojciec chyba niewiele się nad tym zastanawiał, a ja to już w ogóle nie czułem, że mam w tej grze jakąś rolę.

Ojciec na początku nie myślał o wyjeździe. Dopiero kiedy jego siostrzeniec, dobry lekarz, którego w czasie Marca przeniesiono na posadę podrzędneho chirurga gdzieś pod Wrocławiem, wściekł się i wyjechał – mój ojciec,

który do tej pory nic nie dostrzegał, teraz jakby się przebudził. Zobaczył, że Żydów się wyrzuca.

Postanowił wyjechać ze mną. Mówił, że robi to dla mnie, że nie mam tu żadnej przyszłości, że z tym pochodzeniem na pewno się na studia nie dostanę. A ja sobie myślałem, że skoro mam tyle dwój, to rzeczywiście się nie dostanę.

Miałem piętnaście lat, czytałem książki podróżnicze, chodziłem na amerykańskie filmy. Sądziłem, że świat kończy się na tych paru ulicach mojego miasta — dwa kina, pijacy, kopalnie i takie wrażenie, jakby życie się zatrzymywało i zamykało. Z większych miast znałem tylko Kraków i Wrocław, w Warszawie nigdy nie byłem — i nagle mam jechać za granicę. Za granicę? Nie wiem, czy w ogóle ktoś z mojego miasta był kiedykolwiek za granicą! Sama myśl o tym, że mogę wyruszyć stąd do innego kraju, do innego klimatu, do innych krajobrazów...

Po raz pierwszy zaczęliśmy mówić o wyjeździe w październiku sześćdziesiątego ósmego, a w czerwcu sześćdziesiątego dziewiątego już wyjeżdżałem. Osiem miesięcy. Mój najlepszy okres w Polsce.

Dostałem taki „dokument podróży”.<sup>23</sup> Że już nie jestem obywatelem polskim. Wszyscy z emigracji marcowej go dostawali. Dla wielu było to tragedią, a dla mnie — wspaniałe! Bo co mi teraz mogą zrobić? Więc różne draki w szkole. Pierwsze libacje. Jabcoki. Takie uwolnienie, przyzwolenie na robienie zgrzywy z całym światem. Kiedy paliliśmy papierosy na szkolnym strychu, schodziłem na półpiętro — jak mają kogoś złapać, to mnie. I wszystkim cholernie imponowało, że jestem taki odważny.

W szkole mówiłem, że emigruję do Australii. I każdy chciał, żeby mu coś przysłać: dzinsy, samochód, „Playboya” — co ludzie wiedzieli o Zachodzie? Wstydzilem się mówić, że jadę do Izraela. I nie chciałem tam jechać. To był kraj za daleki i za egzotyczny, znałem go tylko z propagandy polskiej i z tego, co się mówiło. Pamiętam, że jak żegnałem się przed wyjazdem z nauczycielami, to jeden z nich mi powiedział: „Oj, to ty tam jedziesz na Synaj, oj, to szkoda chłopaka!”. A kiedy w komendzie MO składaliśmy papiery o rzeczenie się obywatelstwa polskiego, to taki jeden facet (okazało się, że znał moją babkę) wyprosił mojego starego z pokoju i mówi do mnie: „Słuchaj, ty jesteś nasz, do kościoła chodzisz, zostałbyś tu! Nawet jak twój ojciec wyjedzie, my ci wszystko załatwimy, żebyś mógł zostać.”

Na pewno nie myślałem o pobytku w Izraelu na stałe. Mój ojciec mówił: „Na razie pojedziemy, zobaczymy, tam jest wolny kraj.” A ja kombinowałem, że wrócę tu za rok czy dwa; wszystko było dla mnie proste. Czytałem wprawdzie gazety, wiedziałem, że jest antysemityzm, że wyrzucają Żydów, ale to nie dotyczyło mnie! Ja byłem u siebie, byłem Polakiem, po prostu wyjeżdżałem za granicę.



Ojciec odnowił stare przyjaźnie. Zaczęły do nas przychodzić osoby o takich semickich rysach (wtedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę, że są rysy semickie, nauczyłem się to rozpoznawać na antyżydowskich karykaturach, które pojawiły się w prasie polskiej). Któregoś dnia usłyszałem, że rozmawia z ludźmi w jakimś dziwnym języku. Okazało się, że doskonale mówi po żydowsku. Znalazł się też gdzieś w domu słownik hebrajsko-polski. I tefilin.<sup>24</sup>

W którymś momencie ojciec zaczął opowiadać o Izraelu. Że taki piękny kraj, pustynia, wspaniała młodzież, dziewczyny. On był tam w pięćdziesiątym siódmym roku i chciał się osiedlić, ale matka protestowała. Teraz stare zachwyty wróciły.

Pewnego dnia dał mi do przeczytania książkę Andrzeja Żeromskiego o Izraelu *Na zachód od Jordanu*. Była tendencyjna, ale jakieś pojęcie dawała. Co mnie w niej zaszokowało – to obrzezanie. Nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle można zrobić! Kiedy mówiłem o tym kumplom w szkole, nikt mi nie wierzył, musiałem książkę pokazywać.

Miesiąc czy dwa przed wyjazdem w domu był obłęd. Stary sprzedawał wszystkie swoje rzeczy – meble, odzież zimową, książki (powiedziano mu, że na głowę można wywieźć tylko dwadzieścia książek). Pamiętam jego wyjazdy do ambasady holenderskiej w Warszawie<sup>25</sup> i podróże po całej Polsce w poszukiwaniu pierzyn, firanek, bo taki był wtedy model wyjazdu. Kupiliśmy dwa nowe dywany, które trzeba było przez parę dni zadeptywać, żeby było mniejsze cło. I sokowirówkę. I nowy węgierski telewizor „Orion”, który ojciec uważał za szczyt techniki. Jak myśmy potem z tymi nowoczesnościami do Izraela przyjechali...

Ja cały czas żyłem radośnie. Dopiero dwa tygodnie przed wyjazdem dotarło do mnie, że wyjeżdżam stąd i nie wiem, kiedy wrócę. Kiedy wsiadałem do pociągu, to płakałem. Na dworzec przyszła cała klasa z transparentami „Cześć i chwała dla Rafała”, pocieszałem się, że przyjadę tu może za rok. Ale już sama ta myśl, że zostawiam moich kumpli i szkołę, że nie wiadomo, kiedy ich zobaczę... Cholernie byłem zdenerwowany.

Przyjechaliśmy do Wiednia. Tam czekały dwie ekipy urzędników, żeby o nas zadecydować. Wszystko odbywało się w ciągu paru minut. Na peron wysypał się cały wagon emigrantów. Kto chciał jechać do Ameryki czy Kanady, był brany przez urzędników z HIAS-u<sup>26</sup>, kto do Izraela – przez tych z Sochnutu<sup>27</sup>. Miałem nadzieję, że ojciec podejdzie do tamtych od Ameryki, ale odmówił kategorycznie. A wtedy, na dworcu, jak człowiek powiedział, że jedzie do Izraela, to jakby klamka zapadała. I te targi... Była rodzina, która



nie chciała ani do Ameryki, ani do Izraela i ci ludzie prosili urzędników o jakieś informacje, mieli do nich pytania – a tamci tylko: „Albo jedziecie z nami, albo wychoć!”. Wtedy po raz pierwszy uzmysłowilem sobie, że tu idzie gra o całe moje życie.

W Wiedniu byliśmy wszystkiego cztery dni, ale ten pobyt pamiętam w każdym szczególe. Najpierw śniadanie na dworcu. Bułki wiedeńskie, sok pomarańczowy – jak mi to imponowało! Potem zawieźli nas do takiego pałacyku dla emigrantów i dali izraelskie gazety wydawane po polsku. Zobaczyłem tam artykuły o emigrantach z Polski, że nie bardzo się w Izraelu aklimatyzują. Po paru godzinach przyszedł jakiś rosyjski Żyd zapisać nas na kurs hebrajskiego. „Przecież zaraz jedziemy do Izraela, to po co nam teraz kursy?!” – pytam. – „Żebyście mówili już trochę językiem waszych przodków, jak przyjedziecie do własnego kraju.” Za dwie godziny następny, też Ruski, przychodzi, że jest film o wojnie sześciodniowej. „Nie pójdę!” Lecz stary na to: „Ale co oni sobie pomyślą? Że nie chcesz być w Izraelu?!”.

Na filmie pokazywano defiladę wojsk izraelskich i cała widownia była dumna: „O, jakie wspaniałe wojsko, jacy wysocy, opaleni!”. Tego już nie mogłem wytrzymać. Po prostu uciekłem. Kręciłem się po okolicy godzinę, dwie i mówiłem sobie: „Kurczę, w jakie miejsce wpadłem!”.

Następnego dnia badanie lekarskie. Miałem kłopoty z zębami, ale lekarz głównie zwrócił uwagę na mój członek, że coś z nim jest nie tak. Odpiał mi spodnie, spoglądał dłuższą chwilę, w końcu powiedział: „Z tym będziesz miał kłopot. Ale nie martw się. Tam są tacy, co też mają takie jak ty”.

W pewnym momencie powiedziałem, że do Izraela nie pojedę. Stary wpadł w panikę. Poleciał do kierownika hotelu, tamten przyszedł i mówi do mnie:

- Cholera! Dlaczego nie chcesz jechać do Izraela? To taki wspaniały kraj.
- Bo wezmą mnie do wojska!
- Skąd, ty tam szkołę skończysz! Czego chcesz się uczyć?
- Aktorstwa.
- Zobacz, ile my mamy różnych szkół! Dla aktorów, dla reżyserów, dla fryzjerów, dla kogo chcesz!

Dał mi taką księgę pisaną po hebrajsku. Kilkaset stron. Dopiero w Izraelu stwierdziłem, że to była książka telefoniczna.

●

Lecieliśmy samolotem El-Al-u. Stary ciągle pokazywał mi stewardessy: „Popatrz, jakie fajne dziewczyny, jakie opalone!”. Chciał mnie rozerwać, bo byłem już do tej całej podróży strasznie zniechęcony. „Nic się nie martw, najważniejsze, że nikt ci nie będzie wytykał, że jesteś Żydem.”

Zbaraniałem. Przecież ja nie byłem Żydem! Mój ojciec zawsze dla mnie był Polakiem (pochodzenia żydowskiego, ale Polakiem), mówił czystą polszczyzną, był związany z kulturą polską, nawet nasz wyjazd porównywał do polskiej emigracji XIX wieku, a teraz: „Nie będziesz czuł się Żydem”.

Wylądowaliśmy. Wilgoć, gorąco. Na lotnisku komisja dla nowych emigrantów. Jakaś babka pyta ojca po polsku: „Czy pan w ogóle jest Żydem?”, a ojciec, tubalnym głosem: „Jakbym nie był Żydem, to co bym tu robił?”. Całą noc myślałem, co im powiem, jak mnie się tak spytają, ale po tej odpowiedzi ojca niczego już ode mnie nie chcieli. Przyjęli jako niby tego Żyda.

Tej samej nocy pojechaliśmy szejrutem do Akko, gdzie przydzielono nam mieszkanie. W szejrucie okazało się, że mój stary zna hebrajski. Z kierowcą rozmawiał. Czym on mnie tu jeszcze zaskoczy? Przyjechaliśmy nad ranem, kierowca od razu zawiózł nas do naszego mieszkania (po raz pierwszy w życiu miałem mieć swój własny pokój), potem, jeszcze tą samą taksówką, do takiego biura, gdzie dano nam materace, żelazne łóżka, stół i taborety – przytargałem to do domu i wałęsam się spać, a ojciec poszedł obejrzeć miasto.

Obudziłem się koło ósmej czy dziewiętej. Strasznie intensywne słońce. Takie, jakiego w Polsce nigdy nie było. Patrzę przez okno, a tam chodzi kilku czarnych. I pustynia. Czarni ludzie i pustynia! A bliżej drewniany barak i kilkudziesięciu ciemnoskórych starców w strojach jak z jakiegoś filmu.

To był szok. Dopiero potem dowiedziałem się, że ci czarni to nie Murzyni, tylko Żydzi z Jemenu, a ci starcy to z domu rencistów dla Żydów marokańskich. Myślałem, że Izrael to Zachód, coś w rodzaju Austrii, cywilizacja – a tu pustynia, parterowe domki i trochę starych ruder arabskich. Potem okazało się, że Akko to taka pipidówka, gdzie wysyłało się nowych imigrantów.

Od razu pierwszego dnia pojechaliśmy do Hajfy, do rodziny mojego ojca. Eleganckie miasto, wspaniałe samochody, byłem w operze, spodobało mi się. Zostaliśmy tam trzy tygodnie. Czas spędzałem raczej sam, pisałem wiersze, śpiewałem piosenki „Czerwonych Gitar”. Teraz byłem już trochę zafascynowany. Tym, że jestem za granicą, na emigracji, że za rok wrócę do Polski, opowiem wszystko moim kumplom i będą mi zazdrościć.

Po trzech tygodniach przyszło do mnie skierowanie do kibucu<sup>28</sup> na



*ulpan* — kurs hebrajskiego. Kibuc znałem z książki Andrzeja Żeromskiego, opisywany bardzo negatywnie. Nie chciałem tam jechać, nie lubię zorganizowanego życia — wpadłem w panikę, że się rozstaję z ojcem. W końcu jednak stary mnie tam zawiózł.

W kibucu spędziłem ponad rok i to był mój najlepszy okres w życiu.

Miałem szesnaście lat, a stałem się wolnym człowiekiem. Było nas, ulpanistów, czterdziestu, wszyscy w moim wieku, z Polski kilkanaście osób. Stopni nie stawiano, wszystkim nauczycielom — i w ogóle wszystkim — mówiło się *per ty*, obowiązywały cztery godziny nauki i cztery godziny pracy, reszta należała do ciebie. Sam człowiek decydował, co będzie robić dziś, co jutro, dostawało się parę groszy i można było na przykład pojechać do Hajfy. Wolność totalna.

Najważniejsze było, że mieszkaliśmy z dziewczynami i chłopakami z Polski. Tworzyliśmy taką sześciuosobową paczkę (nie wszyscy Polacy do niej należeli) i było strasznie fajnie. Bo po pierwsze się piło.

Alkohol był ze ślubów w kibucu. Kradliśmy. Jak jest ślub, to zaprasza się cały kibuc, również ulpanistów. Przed jadalnią rozkłada się stoły, na nich jedzenie i wino, i nikomu do głowy nie przyjdzie, że ktoś może coś ukraść, bo w kibucu jest jak u siebie w domu. Tymczasem my przychodziliśmy tuż przed uroczystością z workami i zabieraliśmy zwykle sześć, siedem butelek wina. Raz rąbnęliśmy wszystkie. Zawołano policję, podejrzenie od razu padło na nas (bo kto pije, jak nie Polacy?), myśmy powiedzieli, że nie rozumiemy po hebrajsku i skończyło się na tym, że nas tylko ostrzegli. Z magazynu przyszła nowa dostawa, a nam zostało schowanych dwadzieścia parę butelek.

W okolicznych kibucach było chyba ze stu Polaków (emigrantów z Polski) w naszym wieku. Zaczęliśmy międzykibucowe libacje. Słynne na cały kraj. Nawet w „Kurwinach”<sup>29</sup> o nas pisano, że młodzież polska, zamiast starać się zaaklimatyzować w Izraelu, trzyma się oddzielnie, urządza pijaństwa i śpiewa polskie piosenki. A u nas dzień w dzień przez głośniki leciały „Czerwone Gitary”.

Kibucnicy, ci co mieszkali w kibucu na stałe i tam pracowali, nie mogli nas zrozumieć. Jak my, którzy przyjechaliśmy do własnego kraju, możemy nadal śpiewać po polsku i mówić językiem antysemitów? Denerwowało ich nie tylko używanie polskiego języka, ale sam fakt, że ktoś może jeszcze tęsknić do Polski. Mówili: „A w Polsce to już chyba jajek nie ma”. Że taka bieda. A jak się westchnęło, że upał, to człowiek słyszał: „Bo w Polsce to wam pewno było lepiej?”

Tym bardziej więc trzymaliśmy się oddzielnie. I układaliśmy wierszyki



w rodzaju: „Wielu się idiotów w Izraelu widzi, a ci wszyscy idioci to są właśnie Żydzi”.

To był dobry czas. Mnóstwo dziewcząt i chłopców w moim wieku. Gdzie oni wszyscy są teraz? Czy już w pierwszym roku stąd wyjechali? Poszli do wojska? Wżenili się w ciepłą żonę i życie beznadziejne?

Było wspaniale. Nawet o Polsce już tak dużo nie myślałem, choć ciągle dostawałem masę listów. I nagle, jak grom z jasnego nieba — powołanie do wojska. Jakby kto workiem po głowie uderzył! Bo ja sądziłem, że takie życie jak w kibucu będzie już zawsze.

Najpierw zrobili nam badania lekarskie, a potem test psychologiczny. Strasznie się przeraziłem. Dotarło do mnie, że naprawdę wezmą mnie do wojska i będę skazany na ileś lat wegetowania poza życiem. Zacząłem więc w trakcie testów robić różne jaja — nasadziłem specjalnie błędów, mój kolega też. Wezwali nas do takiego faceta, mówiącego po polsku, a on:

— Chłopaki, wy podobno nie chcecie iść do wojska. Kto w Izraelu nie chce iść do wojska?!

— My! Bo jak zginiemy, nie będzie nas gdzie pochować. Tu są tylko żydowskie cmentarze, a my jesteśmy tacy Żydzi problematyczni!

— Chłopaki. Zapewniam was, że jak zginiecie, to was pochowamy z największymi honorami!

Wyglądało, że się nie wymagam. Ale w końcu znalazłem wyjście. Poszedłem na roczny wojskowy kurs elektroniki w Jerozolimie, co odraczało służbę. Potem miał być jeszcze drugi kurs, półroczny, więc termin mojego powołania stawał się daleki i zamglony. To nic, że ceną za to miało być podpisanie zgody na czwarty, dodatkowy rok służby wojskowej w przyszłości. Może w tym czasie nadarzy się jakaś szansa? Może będzie wojna, może ucieknę stąd, zachoruję, nie daj Boże?

W Jerozolimie zostałem sam. Moi izraelscy kumple gdzieś się rozpierzchli, poszli do innych szkół, część wyjechała. Byłem sam. Z elektroniką, która mnie nic nie obchodziła, a której musiałem się uczyć od rana do wieczora — i z tą nieznośną patriotyczną propagandą, którą nas niestrudzenie karmiono. Jak najwięcej agitacji, jak najwięcej sagi o wojnie sześciodniowej.

Na szczęście znalazłem azyl. Miejsce, gdzie czasem mogłem zapomnieć. Pewnego dnia spacerowałem po Via Dolorosa (Drodze Krzyżowej), zatrzymałem się przy IV Stacji i tam, w kaplicy (która jest do dziś, ale którą teraz otwierają tylko w Wielki Piątek) odkryłem polskie muzeum — fotografie Piłsudskiego, Andersa, trochę broni. Zaprzyjaźniłem się z opiekunem tego muzeum — księdzem Pietruszką-Jabłonowskim, kapłanem armii Andersa

– zacząłem mu trochę pomagać, pisać na maszynie jego listy do różnych osób: do barona Godlewskiego, żony Becka, Oskara Haleckiego, księcia Giedroycia. I tak się zaczęło moje życie w dwóch światach. Światem codziennym był bezsensowny kurs wojskowy, światem odświętnym – Polska. Emigracyjna, szlachecka, taka, jaką mogłem znać tylko z książek, z historii, z opowieści o Monte Cassino. W pobliżu, w domu, w którym była kiedyś drukarnia armii Andersa, znalazłem stosy polskich książek, czasopisma, dokumenty z tamtego okresu.<sup>30</sup> Zatapałem się w lekturze i odpływałem.

Izrael mi się wtedy zdecydowanie nie podobał. Dlaczego miało mi się tu podobać? Ciągają cię po wojsku, nie dają spokoju... Moi koledzy z Polski są już w przedmaturalnej albo maturalnej klasie, mają normalne życie, normalne prywatki, wagary, a ja?

Nadal intensywnie korespondowałem z Polską, dostawałem masę listów, czasopisma, płyty. Strasznie żałowałem, że wyjechałem. I nie wytrzymywałem tej tutejszej nacjonalistycznej propagandy.

W czerwcu siedemdziesiątego drugiego zostałem powołany do normalnej służby wojskowej. Wszystkie moje iluzje, że się wymigam, prysły. Już mnie wzięli, już byłem w mundurze, już dostałem broń, już się znalazłem na Synaju.

Panowała tam atmosfera kompletnego luzu. Wstawalo się o dziesiątej, o jedenastej wyjazd nad morze, żeby się kąpać i byczyć, o drugiej powrót na dyżur, wieczorem koszykówka, w nocy karty. Jak na letnich koloniach. Tam była pierwsza linia, a ja w zasadzie nawet strzelać nie bardzo umiałem! Inni też. Takie było to izraelskie wojsko. Mityczne, najwspanialsze wojsko świata.

Nikt tam o wojnie nie myślał. Było przekonanie, że Arabowie w sześćdziesiątym siódmym już zostali pokonani i izraelscy żołnierze mają tylko wypoczywać. Ja oczywiście byłem zadowolony, odpoczywałem. Ciągłe ani trochę nie czułem się Izraelczykiem. Jakbym był w Legii Cudzoziemskiej. Morze, plaża, krajobraz przecudny.

W mojej jednostce tylko ja jeden byłem emigrantem. Nie obrzezany. We wspólnych łaźniach kąpałem się ze wszystkimi i nikt nie zrobił mi w tej sprawie najmniejszej aluzji. Jedyłą osobą, która na to zwróciła uwagę, był tamten lekarz w Wiedniu.

W tym czasie zupełnie straciłem kontakt z Polską. W wojsku, jak się pisało do krajów komunistycznych, trzeba było oddawać listy do cenzury. Ja tego nie robiłem, któryś z moich listów został przechwycony, miałem trochę przykrości i przestałem pisać. Kiedy wybuchła wojna Jom Kippur, mój kontakt z Polską był już definitywnie zerwany.



Wojna zastała mnie na urlopie. Do jednostki dotarłem dopiero drugiego dnia i od razu uderzyły mnie zniszczenia. Okazało się, że nadleciały tam dwie czwórki MIG-ów, zaatakowały z dwudziestu metrów, zburzyły kilka baraków, zostawiły siedmiu rannych, dwóch zabitych.

Przez trzy pierwsze tygodnie to naprawdę była wojna. Nasza jednostka stała na pierwszej linii frontu, cały czas groził nam atak egipski. Prawie każdą noc spędzaliśmy w okopach, ciemno, nic nie widać i mimo zmęczenia człowiek nie mógł spać, tylko się bał. Kiedyś rozeszła się pogłoska, że komando egipskie jest tuż obok naszej baterii. Natychmiast wyłączono wszystkie światła i w tej potwornej ciemności strasznie głupie uczucie: nie wiadomo, czy coś przyjdzie, skąd przyjdzie i czy się nie zginie z rąk kolegów. Bo przecież myśmy ciągle nie wiedzieli, co się robi z bronią!

Jak wybuchła wojna, większość z nas dla zgrywu zaczęła sobie zapuszczać brody. W czasie pokoju pilnowali nas, musieliśmy się golić, dbać o odzież, a teraz nikt nie zwracał na to uwagi. Mieliśmy już niezłe te brody, kiedy nagle rozeszła się wieść, że Egipt planuje atak z bronią gazową. Panika — straszna! Bo trzeba zakładać maski, a jak ma się brodę, to maska się szczelnie nie zapina! Wszyscy rzuciliśmy się do golenia, żeby tylko zdążyć. Na szczęście to był fałszywy alarm.

Mieliśmy tranzystory — każdy prawie miał jakiś mały tranzystor — i słuchaliśmy „Głosu Kairu” (Egipt słyszał tam było znacznie lepiej niż Izrael). W radiu egipskim były wywiady z jeńcami izraelskimi. Straszne. Ci jeńcy mówili to, co im kazali: że ta wojna nie ma sensu, że trzeba oddać tereny, że Egipt chce pokoju. To było takie deprymujące, że mówią do ciebie jeńcy izraelscy...

W czasie wojny zacząłem w wojsku dostawać paczki. Od zupełnie nie znanych mi ludzi. Zaczęli nas odwiedzać artyści, również zagraniczni. Kiedyś o drugiej w nocy przyjechał Leonard Cohen, prosto z Kanady, zaśpiewał dla nas w takim małym baraku, potem zaraz pojechał do drugiej bazy.

Pamiętam mój pierwszy urlop w Jerozolimie, po czterech tygodniach wojny. Przyjeżdżamy autostopem, patrzymy, a tu wzdłuż całej ulicy Jaffo, tam, gdzie jest główny wjazd do Jerozolimy, porozstawiane stoły, na stołach ciasto, wódka, przy stołach proste baby częstują żołnierzy, zapraszają do domów. I tak w całym kraju.

Przed wojną głównym problemem żołnierza w Izraelu było, jak dojechać do własnej bazy. Na Synaju nieraz parę godzin stało się na szosie i nikt się nie zatrzymywał. Teraz wystarczyło, że człowiek przeszedł ulicą i już stawały samochody z pytaniem, dokąd chcesz jechać. Czasem nawet nadkładali drogi, żeby cię podwieźć.

W miastach prawie nie było mężczyzn. Wszyscy na wojnie. Nawet autobu-



sy prowadziły kobiety. Była atmosfera wielkiego przygnębienia. Że już nie jesteśmy taką potęgą jak w sześćdziesiątym siódmym roku.

Zginęło ponad tysiąc żołnierzy. To jest mały kraj i na dobrą sprawę każdy tu zna każdego. Z pracy, ze szkoły, z wojska. Więc zawsze było tak, że ktoś koło ciebie zginął. Kolega, kolega kolegi, ktoś z rodziny — zawsze gdzieś niedaleko.

W tym właśnie czasie, między szóstym a dwudziestym pierwszym października, stałem się Izraelczykiem. Przez cztery lata byłem karmiony patriotyczną propagandą i nic, a teraz te kilka dni wojny zmieniło mnie o 180 stopni. Poczulem, że to, co się w tym kraju dzieje, niebezpieczeństwo, w jakim on się znalazł, dotyczy również mnie. Bezpośrednio, osobiście.

Poczulem się częścią tego społeczeństwa. I to już mi zostało na zawsze.

Nastał siedemdziesiąty piąty rok. I mój czwarty, dodatkowy rok służby wojskowej, na którym odslugiwałem, już jako żołnierz zawodowy, jerozolimski kurs elektroniki. Forsy dostawałem więcej niż inżynier w cywilu. W wojsku miałem starych przyjaciół. Z wolna zaczynałem stawać się częścią korupcji wojskowej charakterystycznej dla żołnierzy zawodowych całego świata. Jako dowódca posyłałem innych do roboty. Sam grałem tylko w karty albo chodziłem się opalać.

Wojsko było dla mnie w jakimś sensie ratunkiem. Dbało o wszystkie moje potrzeby, dawało organizację życia, wyznaczało granice: co mam robić, a czego nie. Życie w cywilu napawało mnie strachem. Nie chciałem się z nim konfrontować. Mógłbym być przecież cywilnym elektronikiem, lecz iść do jakiejś pracy rozpoczynając od zera, z zarobkami dużo niższymi niż w wojsku...

Podpisałem więc kontrakt na jeszcze jeden rok. Tym razem było gorzej: mniej ludzi, więcej pracy. Postanowiłem iść do cywila. Miałem poczucie, że gdy zostanę tu jeszcze trochę — utknę na zawsze.

Pierwsze miesiące w cywilu to najgorszy okres w moim życiu. Jeszcze dziś, gdy mi ciężko, wracam myślami do tego czasu. Całymi dniami gapilem się w sufit. Tygodniami nie odzywałem do nikogo. Mieszkałem u ojca (ojcu, jako pracownikowi budownictwa, udało się dostać mieszkanie w Jerozolimie), ale nie mieliśmy już wspólnego języka. Kręciłem się beznadziejnie po mieście, próbowałem na nowo nawiązać korespondencję z kolegami z Polski... Byłem sam. Miałem swobodę, zawód, dużo pieniędzy, mogłem nawet wyjechać za granicę! — ale nie miałem siły. Wszystko wydawało się bez sensu. Jakbym po ośmiu latach w Izraelu na nowo przeżywał swoją emigrację.

Po trzech miesiącach wreszcie się ocknałem. Zdałem maturę, poszedłem

na studia historyczne. Historia zainteresowała mnie dopiero w Izraelu. Tuż po przyjeździe wpadła mi w ręce „Kultura” paryska. Zobaczyłem wtedy, że są rzeczy, o których w szkole mnie nie uczono: Wypadki Poznańskie, wojna domowa lat czterdziestych, Mikołajczyk, Hłasko. Zafascynowało mnie to. Po latach, na studiach, mogłem nadrobić zaległości polskiej edukacji.

Zacząłem też czytać polskie współczesne gazety. To było tak, jakbym wyrzucił się z przepaści. Bo dla mnie wiedza o Polsce skończyła się w sześćdziesiątym ósmym roku, więc jak przeczytałem, że tam jest już coca-cola i fiat 126p z hasłem „samochód dla każdego robotnika”...

Gdy przyszła „Solidarność” odżyły we mnie nadzieje, że przyjadę. Złożyłem podanie o wizę. Odmówili. Złożyłem drugi raz, w osiemdziesiątym trzecim roku. Odmówili. Wpuścili dopiero wtedy, gdy zdecydowałem się na przyjazd z wycieczką turystyczną, traktowaną przez większość uczestników jako pretekst do uzyskania wizy. Przyjeżdżałem do Polski...

Przez czternaście lat tęsknoty z mojego miasta stworzyłem w wyobraźni najpiękniejsze miejsce na świecie. A tu zobaczyłem, że jest ono nadal tą okropną dziurą: śródmieście, parę ulic, sklep z czapkami w tym samym miejscu... Jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżał! Tylko ludzie trochę się zmienili. Nie traktowali mnie jak równego sobie, lecz jak faceta, któremu się cholernie powiodło. Zazdrościli mi podróży, zachodnich trunków i tego, że mogłem przyjechać do Polski za dolary. Za te pieniądze, które im wydawały się takie ogromne.

Nikt nie myślał o cenie, jaką się za to wszystko płaci. Jak ja kończyłem wojsko, oni kończyli studia. Ja byłem z wojną na Synaju, oni robili studniówkę. Ja wszystko od nowa i od nowa, a oni już rodziny mają. Intelktualne opóźnienie około siedmiu, ośmiu lat! Gdyby mnie ktoś jeszcze w siedemdziesiątym piątym, nawet w siedemdziesiątym szóstym roku zapytał, czy się cieszę, że z Polski wyjechałem, to bym mu powiedział, że to był absolutny błąd.

Dziś nie wiem, czy to był błąd. Gdybym został w Polsce, to może teraz właśnie wybierałbym się na zarobek do Niemiec? Albo do Izraela, na stałe?

Mieszkam w Izraelu już dwadzieścia jeden lat. Przyjechałem tu w takim wieku, że wiadomo było, iż aklimatyzacja jest tylko kwestią czasu. Przyjechałem przywieziony przez ojca, bez żadnego przygotowania. Gdybym czuł się Żydem i uważał, że jadę do swojego kraju, na pewno odbierałbym Izrael bardziej emocjonalnie. A tak, funkcjonowałem normalnie, trzeźwo i krytycznie traktując ten kraj.

W Izraelu życie jest niezwykle hermetyczne. Związek z sąsiadami,

przyjaciółmi, nawet z wojskiem jest bardzo silny i każdy chce mieć na ciebie jakiś wpływ. Mnie się udało przed tym obronić. Dzięki temu moja izraelska identyfikacja przyszła do mnie sama. Najpierw w latach siedemdziesiątych, w związku z wojną Jom Kippur, potem dzięki mojej żonie, urodzonej w Izraelu, i jej rodzinie.

Dziś jestem Izraelczykiem. Nie Żydem. Izraelczykiem. Gdybym żył w czasie drugiej wojny światowej, byłbym Żydem. Gdybym został w Polsce (teraz to wiem), też byłbym Żydem. A w Izraelu kwestia żydostwa mnie nie dotknęła. Nikt mnie tam na żydostwo nie namawiał. Myślę, że w ogóle mało Izraelczyków się nad tą sprawą zastanawia. Gdyby zapytać jakiegoś chłopaka w wojsku czy na studiach, w czym się jego żydostwo przejawia, pewnie nie umiałby odpowiedzieć. Tu się urodził, tu jest jakaś tradycja religijna, ale co to naprawdę oznacza?

W Polsce byłem już parę razy. Zatem konfrontację z moją polską przeszłością mam dziś za sobą. Ale i tak każdy taki pobyt jest dla mnie trudny. Ja bardzo nie lubię rozstań, a to przecież nieustające rozstania! Mimo to ciągle wkładam mnóstwo wysiłku, żeby się na tę dolegliwość narażać. Wykorzystuję moją sytuację zawodową, różne okoliczności, kontakty – wszystko, żeby móc do Polski przyjeżdżać. Bo tego domaga się moja polska część. Żebym dożywał ją i rozwijał, a potem wracał do Izraela. Rozstawał się z Polską i wracał do Izraela.

Który jest moim krajem.

---

Rafał zastrzegł sobie prawo do anonimowości. Zmienione też zostało jego imię.



## Tu jesteś u siebie

Po Marcu wyjechałem do Danii. Miałem ukończony pierwszy rok prawa, dziewiętnaście lat. Wtedy wszyscy emigranci jechali do Danii. Takie kulturalne, porządne europejskie państwo... Wcześniej, w pięćdziesiątym szóstym, zjechaliśmy do Polski ze Związku Radzieckiego. I od razu mieliśmy ruszać do Izraela. Ale ojciec zachorował, potem umarł – zostaliśmy. Jednakże ja cały czas żyłem z perspektywą emigracji, tym bardziej że chodziłem do żydowskiej szkoły we Wrocławiu. A tam ciągle ktoś wyjeżdżał. I ciągle miało się uczucie, że ty też wyjedziesz – jak nie dziś, to jutro. Do matury doczekało nas tylko kilkanaścioro.

Czy Marzec mnie zaskoczył? Nie. Bo w mojej szkole oprócz normalnych przedmiotów miałem historię Żydów w Polsce. Jak się człowiek o tych pogromach uczy, to w zasadzie powinien być przygotowany. Kiedy jednak przyszedł Marzec...

Przestraszyłem się. Co innego wiedzieć, co innego samemu przeżywać. Te występy w radiu, w telewizji, demonstracje „klasy robotniczej”. I od razu masz takie uczucie zaszczucia, różne skojarzenia, żydowskie strachy przychodzą ci do głowy. Nie mówię, że rozczarowałem się konkretnymi osobami, nie. Moi polscy koledzy ze studiów to byli inteligentni, przyjemni, mądry ludzie. Ale to, co było wokół, ta wizja totalnego antysemityzmu, która się wtedy pojawiła...

Powiedziałem – koniec, wyjeżdżam. I odczułem nawet ulgę. Że już. Że ułatwiono mi decyzję. Bo karty zostały odkryte. I wszystko powiedziano prosto, publicznie, bez żadnych aluzji. A człowiek lubi proste sytuacje. Tymczasem między Żydami i Polakami sytuacja jest zawsze niejasna, ambiwalentna. Niby powszechnie wiadomo, że w społeczeństwie antysemityzm istnieje, ale oficjalnie wszystko jest cacy.

Postanowiliśmy jechać do Danii. Ja wiedziałem, że w końcu i tak wyląduję w Izraelu (bo jak już wyjeżdżać, to do własnego kraju) – ale czy trzeba tam koniecznie jechać od razu? Moi rodzice (matka wyszła drugi raz za mąż) obawiali się Izraela. Że klimat, Arabowie. A ja – jedyny syn żydowskiej matki – nie chciałem wtedy jeszcze rozstawać się z rodzicami. Do Danii zresztą jechali wszyscy, mnie się ona wtedy wydawała rajem na ziemi...

Przyjechaliśmy do Danii w listopadzie, a już po trzech miesiącach wybrałem się do Izraela. Na dwa tygodnie. Rozejrzeć się, zobaczyć, jak tam

da się żyć. W Danii była wtedy straszna pogoda, plucha, wiatr przenikający do kości bez względu na to, ile par kalesonów masz na sobie. A w Izraelu... Samolot przyleciał w nocy, zatrzymałem się u krewnych, rano odstłoniłem zasłony, zobaczyłem słońce. I wiedziałem już, że jest to kraj dla mnie. Odezwiał się we mnie syjonizm. Klimatyczny.

Od razu poszedłem do Sochnutu załatwiać formalności imigracyjne. Cały czas było słońce. I takie cudowne, irracjonalne uczucie, że jesteś u siebie. Masz egzotyczny krajobraz, egzotyczny tłum na ulicy, wszystko jest inne niż to, do czego jest się przyzwyczajonym, a czujesz się u siebie. Jak nigdzie na świecie! Ileż ja razy się zastanawiałem, skąd to uczucie. Czy stąd, że to żydowskie państwo? Czy że tu obowiązuje hebrajski, nowy, żydowski język narodowy, którym na dobrą sprawę nikt się dobrze jeszcze nie umie posługiwać?<sup>31</sup> Czy że każdy tu skądś przyjechał i jak ktoś ci powie: „A, bo ty jesteś z Polski”, to możesz mu odpowiedzieć „A, bo ty jesteś z Maroka?”.

To uczucie dopada ludzi w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Obserwowałem to później u mojej żony Wiesi, którą poznałem w Danii (dokąd wemigrowała po Marcu) i którą ściągnąłem tu już po paru latach mojego pobytu w Izraelu. Ona przyjechała niechętnie i pisała do naszych emigracyjnych przyjaciół strasznie ponure listy. Lecz gdy po czterech miesiącach zaprosiliśmy ich do siebie i padło w końcu to ciężkie pytanie: „Jak wam tu jest?”, to Wiesia, niespodziewanie również dla mnie, nagle powiedziała: „Jest wspaniale. Mnie tu jest najlepiej”. A musisz wiedzieć, że gdy tu zaczyna się życie we dwójkę, a potem ma się małe dziecko — te wszystkie korowody z mieszkaniem, Sochnutem, izraelskim bałaganem i biurokracją... A ona: „Nie można nigdzie indziej żyć. Trzeba było z nami przyjechać”.

Moje wejście w Izrael było łatwe. Przyjeżdżałem tu w maju siedemdziesiątego roku, podjąwszy decyzję o emigracji w czasie tamtej krótkiej wycieczki do Izraela. Miałem dwadzieścia lat, nie byłem jeszcze obciążony rodziną i posiadałem tę szczęśliwą cechę, że nie spodziewałem się zbyt wiele. Zaraz po przylocie, w nocy, wszedłem do biura Sochnutu na lotnisku, dostałem dokument „nowego imigranta”, hotel, a już na drugi dzień znalazłem się w kibucu na ulpanie.

Kibuc to przyjemne miejsce. I dobry sposób wchodzenia w Izrael. Komuna, bez pieniędzy, wszyscy pracują, dzielą się równo. Rodziny mieszkają w samodzielnych domkach, je się w jednej stołówce, każdy po kolei ma dyżur przy myciu naczyń (nawet sekretarz kibucu czy kibucnik, który został ministrem i ze swojego ministerstwa przyjechał na urlop), jest demokratycznie wybierana rada, każda rzecz podlega demokratycznemu głosowaniu.



Pamiętam, że dla mnie uderzający był tam poziom ludzi: elita intelektualna. Mimo że wykonywali na ogół pracę fizyczną. Oni mieszkali w kibucu ze względów ideowych, pragnęli tworzyć nową, awangardową społeczność, stosować nowe rozwiązania technologiczne, nowe metody uprawy ziemi, nawet nowe teorie pedagogiczne. Przyjeżdżały teatry, wyświetlano filmy, występowali znani artyści.

W kibucu pasjonował mnie też świat dzieci. Wtedy mieszkaly one w specjalnych domach pod opieką wychowawczyń (teraz jest inaczej), ale jednocześnie rodzice mieli dla nich więcej czasu niż w normalnych rodzinach. Troski dnia codziennego — obiad, zakupy — spadały na kibuc i na przykład ojciec po pracy mógł wziąć syna na konia, na traktor, bawić się z nim przez cały czas.

Dzieci miały w kibucu własne ZOO. Z krową, kurami, psami, lisem. Karmiły zwierzęta, czyściły je, bawiły się. Zazdrościłem im. Dla mnie to był świat zrealizowanych dziecięcych marzeń.

Starym ludziom też można było zazdrościć. Do końca uczestniczyli w kibucowym życiu. Nie szli na emeryturę, lecz pracowali ile mogli — dwie godziny, godzinę, czasem przychodzili tylko pogadać. Do końca pozostawali członkami kibucowej społeczności. A jak już przestawali się ruszać, brali ich pod opiekę inni kibuncy.

To wszystko podobało mi się bardzo, lecz nie aż tak, żebym chciał tam zostać. W kibucu wolność była jednak ograniczona. Żeby wyjechać za granicę, trzeba było mieć zgodę kibucu. Żeby iść na studia, trzeba było mieć zgodę kibucu. Poza tym straszny wydawał mi się fakt, że stamtąd jest tak trudno odejść! Jak ktoś chciał zacząć samodzielne życie, wychodził z kibucu bosi i goły, nawet jeśli przed wstąpieniem tam miał jakiś majątek (wstępując musiał go oddać i wychodząc odzyskiwał tylko część). Ja widziałem ludzi czterdziestoletnich, którzy kibuc opuszczali z pieniędzmi nie wystarczającymi na kupienie mieszkania! Zaczynali wszystko od zera. Po tylu latach pracy.

My, ulpaniści, tworzyliśmy w kibucu specjalną społeczność. Wstawaliśmy o piątej rano, pracowaliśmy do dziewiątej, potem prysznic, śniadanie, nauka — a potem zabawy, dzikie potańcowy, nieraz i do dwunastej. Nie było kiedy spać.

Nasz entuzjazm był ogromny. Że po dwóch tysiącach lat rozbitcia przyjeżdżamy z różnych krajów i łączymy się w jeden naród. Wśród nas byli emigranci z całego świata. Mówiliśmy najrozmaitszymi językami, nie znaliśmy jeszcze hebrajskiego, wszystko było przed nami... Byliśmy szczęśliwi, że realizujemy izraelską legendę.



Po pół roku nauki w kibucu dostałem się na uniwersytet w Jerozolimie. Bez kłopotu. Wystarczyło, że wizytator naszego ulpanu zapisał nas na studia (gdzie kto chciał), a potem wypełniliśmy jakieś testy, niewiele warte jako sprawdzian.

Przyjęli nas na rok przygotowawczy (tam rok przygotowawczy jest dla wszystkich studentów, bo Izraelczycy idą na studia dopiero po odbyciu służby wojskowej). Miałem stypendium (które często przychodziło z opóźnieniem, więc czasem i kilka tygodni lazałem bez grosza), miałem pokój dwuosobowy w akademiku – i studiowałem. Ekonomie i nauki polityczne. Zaczynałem normalne życie.

Oczywiście życie w Izraelu tylko częściowo może być normalne. Bo to jest kraj w stanie ciągłej wojny. Tu zawsze jest albo otwarta wojna, albo przygraniczne ostrzeliwania czy ataki terrorystów. Izraelskie wojny przy tym to nie są starcia w miastach. Nawet w trakcie otwartych wojen – a od czterdziestego ósmego roku były tu już cztery – ludzie siedzieli w kinach, a na granicach trwały walki. Ale wojna jest tu cały czas obecna. I całe społeczeństwo związane jest z wojskiem. Nie spotkasz tu nikogo, kto nie byłby w wojsku lub nie miałby tam brata, siostry albo dzieci.<sup>32</sup>

Ja w wojnach izraelskich w zasadzie nie uczestniczyłem. W siedemdziesiątym trzecim roku akurat byłem w Danii, a w czasie Libanu służyłem na innych terenach. Odbywałem jednak kiedyś służbę wojskową na ziemiach okupowanych (jedni mówią „okupowanych”, inni „odzyskanych”) – i to było naprawdę nieprzyjemne. Bo tam nie wykonuje się roboty żołnierskiej, tylko policyjną.

Tam trwa powstanie ludowe robione rękami dzieci. Ktoś anonimowy wydaje dzieciom rozkazy. One tego słuchają, wychodzą na ulicę, zaczynają obrzucać żołnierzy obelgami i ciskać w nich kamieniami. Kiedyś chodziły rzucać kamienie całymi klasami! Zaraz po przyjsciu na lekcje. Ale od roku, właśnie dlatego, arabskie szkoły są na tamtych terenach zamknięte.

Dawniej władze izraelskie za dzieci karały rodziców. Na przykład zabierano ojcu dowód osobisty i mówiono, że jak mały nadal będzie rozrabiał, dowodu się nie zwróci (a Arabom nie wolno się bez dowodu ruszać). Taka kara miała sens, bo społeczeństwo arabskie było niełychanie patriarchalne. Liczyło się słowo ojca, jeszcze bardziej dziadka. Ale teraz dzieci przestały słuchać rodziców. W ich oczach rodzice to śmierdzące tchórze, bo chodzą do pracy do tych wrednych Izraelczyków. I jak dziś dziadek arabskiemu chłopcu mówi: „Nie wychodź na ulicę”, to chłopak bije dziadka! Nastąpił całkowity rozkład tego społeczeństwa.

I teraz: ty masz wartę na dachu, a dzieci rzucają w ciebie kamieniami. Co zrobić? Gonić je? Są szybsze. Zresztą cóż z tego, że któreś złapiesz? Więc

stoisz, one rzucają i wszystko zależy od twoich nerwów. Dopóki te kamienie cię nie ranią, dopóki nic cię nie boli – jest dobrze. Lecz jeśli tkwisz tam godzinami, na chłodzie, na zimnym deszczu? Jak długo to wytrzymasz?

Niektórym nerwy puszczaają. Naciskają cyngiel. I wówczas masz te dzieci – zabijane, chore, bohaterskie. I gazety, i telewizję, i fotografie drukowane na całym świecie: małe, arabskie dziecko naprzeciw uzbrojonego żołnierza. A to natychmiast kojarzy się ze słynnym zdjęciem SS-mana i żydowskiego dziecka z podniesionymi rękami.

Zapewniam cię: izraelska armia nie będzie walczyć z tymi dziećmi. Ona nie jest zdobywcą armią. Nie postąpi tak, jak postępują przywódcy państw arabskich, na przykład prezydent Syrii, Asad, który, gdy w latach siedemdziesiątych zbuntowało mu się miasto Haleb, otoczył je żołnierzami i zbombardował, zabijając dziesięć tysięcy ludzi. Bunt stłumiono – ale to nie są dla nas wzorce.<sup>33</sup>

Czy mój stosunek do Arabów zmienił się przez te lata? Nie. Bo od początku nie miałem złudzeń. Po wojnie sześciodniowej w Izraelu była nadzieja, że da się doskonale żyć z Arabami. Że oni będą woleli izraelski dobrobyt niż ubóstwo Jordanii czy własnego państwa. Ja nigdy w to nie wierzyłem. I właściwie teraz cieszę się, że te złudzenia prysły. Bo jest zrozumienie, że razem żyć się nie da. I jest poszukiwanie jakiegoś wyjścia.

Jakie może być wyjście? Tutaj głosy są różne. Jedni mówią: „stłumić powstanie”. Wyjście zupełnie absurdalne. Bunt ludności można zgnieść tylko wielkim okrucieństwem, a Izrael nigdy się na to nie zdobędzie. Inni mówią: „Transfer, wyrzucić Arabów, każdego, kto podnosi rękę przeciwko Izraelowi – do Jordanii!”. Też zupełna fantazja. Owszem, ja sam tak bym chciał: zamknąć oczy, otworzyć i żeby wokół nie było ani jednego Araba. Ale to tak się nie da. Na tych ziemiach – zgadzam się, historycznie żydowskich (Biblia mówi o Hebronie, Nablusie, Betlejem)<sup>34</sup> – siedzi milion czy półtora miliona Arabów. I to jest problem demograficzny, nie wojskowy. Problemu wojskowego nie ma, bo kamienie przeciwko czołgom to nie jest problem wojskowy! Chodzi tylko o to, czy my chcemy być drugą RPA, gdzie dwudziestoprocentowa biała mniejszość rządzi osiemdziesięcioma procentami czarnych, czy nie. Ja nie chcę. Dlatego uważam, że trzeba się wycofać. Prowadzić rozmowy pokojowe i ustalić bardziej bezpieczne granice.

Ktoś powie: bezpieczne granice oparte na zaufaniu do Arabów?! Dziesięć kilometrów od Tel Awiwu, osiem kilometrów od Natanii?! Tak, ja nie twierdzę, że mam rację. I zawsze sobie przypominam, że przed drugą wojną światową wszyscy kulturalni, miłujący pokój ludzie uważali, że rację ma Chamberlain, który pojechał podpisać z Hitlerem pokój monachijski,<sup>35</sup> a nie

Churchill traktowany przez intelektualistów jako watażka, bo nawoływał, żeby się przed Hitlerem zbroić. Więc może dzisiaj ja też nie mam racji. Ale uważam, że nie mamy wyboru. Stoimy przed złym albo gorszym wyborem. Trzeba wybrać ten zły, który, mam nadzieję, nie będzie tym gorszym.

•  
Czy nigdy nie miałem pokus, żeby stąd wyjechać? Nie, nigdy. Wiesz, Żydzi tutaj często mają poczucie, że ich życie przepływa obok. Prawdziwe życie. Że może lepiej byłoby w Szwecji, w Anglii, Ameryce, Południowej Afryce. I cały czas żyją z myślą: „Jesteśmy tutaj, ale może by wyjechać?”

Mnie to nigdy nie korciło. Ja wcześniej przeszedłem przez Danię i wiem, jak jest na bardzo dobrej emigracji. Bardzo dobrze. Tylko że tam nie jesteś u siebie.

O Danii ja nic złego nie mogę powiedzieć: centrum Europy, wysoki poziom życia, humanitarne państwo, szlachetne tradycje. W czasie okupacji niemieckiej Duńczycy wywieźli Żydów do Szwecji, a król duński sam sobie założył żółtą gwiazdę na rękaw. Humanizm, kultura, wszystko co chcesz. A jednak.

Tam jesteś u kogoś, tu jesteś u siebie. Żeby to wiedzieć, trzeba prawdopodobnie na tej emigracji być. Ja byłem. I już nie muszę ani do Ameryki, ani do Kanady. Chcę być u siebie. Mimo wojny, mimo bałaganu, mimo wszystkiego, co zżera nerwy i wysysa krew. Chcę być u siebie, chcę mieć to słońce, chcę mieć ten kraj...

Co ci jeszcze mogę powiedzieć?



## Tak się złożyło

Ile miałam lat wtedy? Szesnaście, prawie szesnaście. To był mój cudowny czas. Chodziłam do świetnej szkoły, do Reja w Warszawie, miałam świetną klasę, wielu przyjaciół...

Robiłam wtedy bardzo dużo rzeczy. Zajmowałam się klubem filmowym, uczyłam się angielskiego, należałam do Koła Przyjaciół Teatru, uczestniczyłam w plenerach i wyjazdach warsztatowych.

Tylko ja z mojej klasy byłam Żydówką. Czy to żydostwo coś dla mnie znaczyło? Nie. Tyle że o nim wiedziałam. Moi rodzice już w młodości przestali być religijni i kultywowali tradycje żydowskie. Związani głęboko z kulturą polską, mnie też w tym kierunku wychowywali. Nikt z nas jednak nie ukrywał, że jest Żydem. Ja nigdy nie czułam, że Żyd to ktoś gorszy. Rodzice rozmawiali ze mną o bogactwie przedwojennej kultury żydowskiej, o Holocauście, miałam wielu przyjaciół Żydów, bo lato spędzałam zwykle na koloniach TSKŻ-u<sup>36</sup>.

Marzec przeżywałam świadomie. Rodzice, wtedy już na emeryturze, świetnie się orientowali, co się dzieje. Oni, komuniści z przedwojennego, ideowego pokolenia, kryzys świadomościowy przeszli w pięćdziesiątym szóstym roku i już nie byli naiwni. Marzec przewidzieli po wojnie szczęśliwiej.<sup>37</sup> Dzięki nim wszystko rozumiałam, wiedziałam, że to są gry polityczne, że zrobiono specjalną kampanię antysemicką, że na organizowanych zebraniach partyjnych zmuszano ludzi do głosowania przeciw „syjonizmowi” (przy czym nikt nie wiedział, co to naprawdę jest). I że odbywa się straszna, odgórna nagonka.

Przyjaciele z klasy często pytali mnie o tło tej kampanii. Zakładali, że jako Żydówka, mogę wiedzieć więcej. I ja rzeczywiście próbowałam im tłumaczyć. Sama zagrożenia nie czułam, natomiast czułam napięcie moich rodziców i brata. Bo oni znali ludzi szykanowanych, wyrzucanych z pracy czy ze studiów. I te wszystkie rozmowy, opowieści, wizyty, atmosfera goryczy i krzywdy, która wtedy narastała, wywoływała w nas uczucie kompletnego rozczarowania. Bycia zdradzonym.

Dyskusje w naszym domu ciągnęły się miesiącami. Może wyjechać? Znajomi wyjeżdżają. Zostać? Ale kto jeszcze zostanie? Któregoś dnia nie wytrzymałam, krzyknęłam: „No już, decydować!” – bo nie byłam w stanie żyć w takiej niepewności. Mój brat kończył studia, wiadomo było, że ułoży

sobie życie sam. Ale ja, szesnastolatka, pozostawałam całkowicie zdana na decyzję rodziców.

W wyjazdach tamtego czasu dużą rolę odgrywała grupowa presja psychiczna. Ludzie wyjeżdżali i ciągnęli jeden drugiego. Bo rozmawiali, decydowali razem, wielu z nich związanych było ze sobą jeszcze od czasów przedwojennych, tworzyli jakby rodzinę. Było oczywiste, że będą się nawzajem namawiać.

Dla mnie cała ta sprawa miała jeszcze inny wymiar: ewentualność wyjazdu otwierała mi nowe perspektywy. Poza tym wszystko się zmieniało, mieszało, rozlatywało. Niektórzy znajomi już powyjeżdżali, inni właśnie pakowali walizki, ktoś z przyjaciół miesiąc wcześniej wyemigrował do Izraela i z nim korespondowałam.

Rodzice ostateczną decyzję — że do Izraela — podjęli w czerwcu sześćdziesiątego dziewiątego. W lipcu złożyliśmy podania o dokumenty i wizy, dostaliśmy je w końcu sierpnia, we wrześniu mieliśmy termin opuszczenia kraju. Przy załatwianiu wyjazdu tyle było roboty, że o mojej sytuacji życiowej tak głębiej nie myślałam. I dopiero w momencie, kiedy zaczęliśmy sprzedawać książki... To segregowanie, wybieranie najbardziej ukochanych! Poczulałam, że zamyka się jakiś etap mojego życia.

Momentu wyjazdu się bałam. Psychicznie właściwie byłam na to przygotowana: przecież tylu kolegów wcześniej wyjeżdżało, tyle było tych pożegnań! Lecz z nimi miałam poczucie wspólnego losu. Wszyscyśmy wyjeżdżali, sporo z nas do Izraela, pewnie się gdzieś w świecie spotkamy. Ale kiedy przyszło mi się żegnać z przyjaciółmi — Polakami...

To byli ludzie tak strasznie bliscy, kochani! Najbliżsi moi przyjaciele! Nawet proponowali mi, żebym do matury została u ich rodziców...

Odprowadzili mnie na dworzec. I wszyscy mieliśmy wrażenie, że dzieje się coś ostatecznego.

Przyjechaliśmy do Izraela i zamieszkaliśmy w centrum adaptacyjnym<sup>38</sup> w Natanii (to miasto w pobliżu Tel Awiwu). Pamiętam pierwsze obiady w takiej dużej stołówce. I swoje podniecenie, że wokół jest tylu ludzi z różnych krajów. Z Ameryki, Ameryki Południowej, Francji, Rumunii. Razem uczyliśmy się języka. Ja chodziłam z rodzicami do jednej klasy, (to było dość zabawne), a potem, zimą, zapisano mnie do normalnego hebrajskiego liceum.

To liceum było bardzo znane, miało podobno dobry poziom. Ale ja głównie pamiętam, że potwornie tam marzłam. Budynek przystosowany do letniej pogody, bez ogrzewania, w ścianach dziury, ciągle wiało. Poza tym straszny hałas i bałagan! Uczniowie w kółko jedli pomarańcze, na lekcjach

głośno gadali i przezywali się. Byłam zde gustowana. Wszystko było zupełnie inaczej niż w Polsce!

Dostawałam wiele listów od polskich przyjaciół. W jednym ktoś skarżył się, że nie opisuję swoich uczuć, tylko same fakty: to zrobiłam, tego się nauczyłam, to widziałam. Dziś wiem, że byłam wtedy po prostu w szoku. Kulturowym i językowym. Nie rozumiałam, co ludzie do mnie mówią, co jest napisane na ścianie, co ktoś krzyczy na ulicy... I wiedziałam, że jeszcze bardzo długo nie będę rozumieć.

Przeżywałam depresję. Normalną, emigracyjną depresję. W Polsce byłam elokwentna, dużo gadałam, dobrze pisałam. Tu stałam się kaleką językową. Wokół atakowało mnie tyle nowych wrażeń, uczuć, wszystko było inne – kolory, zapachy, ludzie – a ja po prostu nie umiałam tego wyrazić! Nie wiedziałam, czego ktoś chce ode mnie. Nie miałam jak nawiązać głębszego kontaktu.

Było to tym trudniejsze, że mi się w Izraelu nie podobało. Cały czas miałam wrażenie, że wszystko jest tu zrobione prowizorycznie i bez gustu. Znałam wtedy tylko Natanię i Tel Awiw, męczyła mnie brzydota tych miast, brakowało starej architektury, starych domów, ulic. Czulałam się tu obca.

Na szczęście mówiłam po angielsku. To dawało jakąś możliwość kontaktu. Większą, niż u innych moich kolegów z Polski, którzy, nie znając żadnego języka, byli na siebie skazani i ciągle żyli polską przeszłością. Poznałam ich, gdy przeprowadziliśmy się z rodzicami do Bat Jamu, miasta pod Tel Awiwem. Tam mieszkało dużo rodzin z marcowej emigracji i wielu moich rówieśników. Zżyłam się z nimi i to był bardzo fajny, dziki czas.

Byliśmy młodzi. Przyjechaliśmy z Polski do innego kraju i chłoniliśmy wszystko, co zachodnie. Izrael był wtedy w stosunku do Zachodu bardzo prowincjonalny, ale dla nas – zachodni ogromnie. Pasjonowaliśmy się ruchem hippisów, byliśmy pod wpływem nowej muzyki, rock-and-rolła, chłopcy zapuszczali włosy, paliło się hasz, piło.

Dla moich rodziców to był ciężki okres. Oni się bali tej całej kultury hippisowej, narkotyków, wszystkich złych wpływów na córeczkę. Poza tym przeżywali wtedy kryzys, bo, jak wszyscy ludzie ich pokolenia, szok kulturowy przechodzili boleśniej niż ja. Nie mogli się nauczyć języka, nie znajdowali pracy, nie potrafili dostosować się zawodowo. Mojej mamie jeszcze się udało, bo została księgową w dużej firmie. Ale ojciec, w Polsce urzędnik ministerialny, tutaj tułał się nieszczęśliwie od roboty do roboty. Strasznie go to upokarzało i poniżało.

Rodzicom wielu moich kolegów też się nie powiodło. Nie chcąc zaakceptować tej sytuacji decydowali się na kolejną emigrację. Wyjeżdżali z Izraela, zabierając ze sobą dzieci: moich rówieśników, kolegów. I srodo-



wisko znowu mi się rozpadało. Znowu wszystko robiło się niestabilne i prowizoryczne.



W siedemdziesiątym pierwszym roku wzięli mnie do wojska. Oczywiście nie chciałam. Niechęć do wojska była w naszym polskim środowisku powszechna. Myśmy nie byli jeszcze przygotowani na takie przeżycie i stosowaliśmy różne metody wymigiwania się: udawało się narkomana, kombinowało lewe zaświadczenia lekarskie. Te metody były skuteczne. Ale ja tego nie spróbowałam. Może byłam niezdarna, może uważałam, że to nieuczciwe...

Izraelskie wojsko zaczęłam od kursu instruktorów wychowania obronnego. Ten kurs był trochę harcerski, fizycznie bardzo trudny, lecz to mi nie przeszkadzało, bo byłam wysportowana. Ale...

No cóż, to było wojsko: znalazłam się w grupie dziewcząt zupełnie przypadkowych, z różnych środowisk, dziewcząt często prymitywnych, histerycznych, nieprzyjemnych, krzykliwych. W odpowiedzi przybierałam snobistyczną pozę: czytałam poważne książki po angielsku, rysowałam. Gdy nie wolno było palić, skrycie paliłam, nawet hasz. Nigdy się nie spieszyłam, nie zważałam, czy wszystkie guziki mam zapięte, pod mundurem nosiłam piżamę... Byłam śmieszna. Dla otoczenia i dla siebie samej. Może to był mój prywatny protest przeciw umundurowaniu i systemowi? Może obrona osobowości?

Teraz myślę, że w jakimś sensie ja to wojsko akceptowałam. Jako przygodę. Zetknięcie z innym Izraelem. Z sytuacjami, które są w życiu cywilnym do ominięcia, a tu nie, z ludźmi, których bym normalnie nie spotkała.

Odbierali mnie jako lokalnego błazna. Bez agresji. Ale jednak z poczuciem, że jestem obca. Po dwóch miesiącach poprosiłam o przeniesienie. Czulałam, że nie nadaję się na żadnego instruktora.

Dali mi przydział do wojskowego biura, gdzie pracowałam jak normalna urzędniczka, od ósmej do piątej. Wieczorem szłam do domu. W pracy nudziłam się okropnie. W domu też nie było najlepiej, bo między mną i rodzicami zaczęły narastać jakieś konflikty. W pewnym momencie poczułam się tak źle, że poszłam nawet do psychologa wojskowego, żeby się w ogóle zwolnić z wojska. Ale on mi zasugerował przeniesienie do kibucu w ramach służby wojskowej. A w kibucu było już dobrze.

Spędziłam tam ponad rok. Pracowałam jak wszyscy, chodziłam w cywilnym ubraniu, miałam swój pokój, łazienkę, traktowano nas — mnie i moich kolegów z wojska — bardzo ciepło, serdecznie. I pewnie dotrwałabym tam

spokojnie do końca mojej służby wojskowej, ale właśnie niedługo przed jej końcem zaczęła się w Izraelu wojna Jom Kippur.

To było naprawdę wielkie przeżycie. I dla wszystkich moich znajomych przeżycie przełomowe.

Wtedy na Jom Kippur przyjechałam właśnie do domu i poszłam na prywatkę. Myśmy w polskim środowisku w Bat Jamie tradycyjnie robili w Jom Kippur prywatki, żeby przeciwstawić się religijnemu zakazowi zabaw i ogólnemu paraliżowi tego dnia. Była więc ta prywatka, oczywiście muzyczka, alkohol, hasz, powoli robiło się rano, niektórzy już poszli, niektórzy spali w innych pokojach. Jeden chłopak w pewnym momencie zaczął głośno czytać jakieś antywojenne opowiadanie Lema. Nagle – samolot. I auta. A przecież w Jom Kippur w ogóle się nie jeździ! Ktoś z nas w kontekście tego opowiadania Lema rzucił prorocze zdanie, że jakaś wojenka się szykuje. Około siódmej rano wracaliśmy do domu. Widzieliśmy umundurowanych ludzi, wojskowe samochody...

Ta wojna była niespodzianką. Nikt sobie nie zdawał sprawy, że taka sytuacja może się zdarzyć. Nie było przygotowań i była ogromna klęska.

Jeszcze tego samego dnia wróciłam do kibucu. Już nie widziało się tam mężczyzn w wieku poborowym. Zostali zmobilizowani. I trzeba było zupełnie przestawić rozkład pracy.

Mieliśmy całonocne dyżury przy telefonie. Mężczyźni dzwonili do żon. Wśród nas były kobiety w ciąży, niektóre właśnie miały rodzić. Sporo mężczyzn z tego kibucu należało do bojowych jednostek, w których się ginęło. Sytuacja była dramatyczna.

Emocjonalnie czułam się wtedy bardzo związana z kobietami w kibucu. W Izraelu w takich momentach poczucie solidarności staje się powszechne. Tu przecież było tyle wojen, w tylu rodzinach byli zabici i ranni.

Ta wojna spowodowała ogromne zmiany w świadomości ludzi. Moi koledzy, dotąd wymigujący się od wojska, nagle zaczęli zgłaszać się na ochotnika – do służby zdrowia, do szpitali. Zrobiło im się głupio, że w niczym nie biorą udziału. Każdy chciał coś zrobić.

Ja się cieszyłam, że jestem w wojsku. Czułam się na miejscu. Wprawdzie w kibucu tylko zbierałam jabłka, całą wojnę właściwie przesiedziałam na drzewie, ale robiłam to w ramach służby wojskowej. Miałam poczucie, że uczestniczę, że pomagam krajowi.

Gdy skończyła się wojna, moi rówieśnicy na dobre zaczęli stąd wyjeżdżać. Widocznie dojrzała w nich świadomość, że się tutaj nigdy nie zaaklimatyzują

i właściwie chcą być gdzie indziej. Przyjechali jako małoletni, z rodzicami, teraz nagle dorośli i zdali sobie sprawę, że mają swobodę wyboru. Nie – to okay. Jedziemy w inne miejsce.

Ja ciągle jeszcze nie myślałam o wyjeździe. Skończyłam wojsko, zaczęłam rozglądać się za studiami, poszłam na architekturę. Niestety, nie było mi za dobrze.

Byłam sama. Zaraz po wyjściu z wojska zerwałam z chłopakiem, z którym chodziłam dwa lata. On też był z Polski. Chciał, żebyśmy się pobrali, razem zamieszkali, a ja się bałam, że to mnie zadusi. Chciałam studiować, a nie wychodzić za mąż! Lecz kiedy znalazłam się na studiach, ogarnęła mnie depresja. Nie lubiłam swojej grupy. Dużo opuszczałam. Kiepsko się uczyłam. Nic mi się nie podobało...

W pewnym momencie dojrzałam do wyjazdu. Poczułam, że muszę coś zrobić. Miałam potrzebę czegoś dynamicznego, jakiejś przygody, ogromnej zmiany. Za mną było pięć bardzo trudnych lat. Miałam już dosyć mieszkania w kraju, w którym ciągle nie byłam zadomowiona! Dosyć nadopiekuńczości rodziców.

Chciałam wyjechać, coś przeżyć, być gdzie indziej. Poznać Europę, zwiedzić muzea, powdychać kulturę, odpocząć.

Miałam dwadzieścia jeden lat i wszelkie możliwe powody, żeby chcieć sobie pojechać.

Europa była dla mnie oddechem. Powietrzem. Dlaczego? To bardzo osobiste. Po prostu przeżycia estetyczne, przeżycia turystyczne, radość, że znowu jest znajomy klimat, normalne pory roku, te wszystkie przejściowe sezony, które tak bardzo lubię. W Izraelu okropnie cierpiałam z powodu klimatu – latem nie znosiłam gorąca, zimą marzłam. Europa była ulgą. No i w Europie miałam tę swoją kulturę, architekturę, stare miasta, muzea. I miałam brata. I było mi przyjemnie z nim być.

Zatrzymałam się w Anglii i zaczęłam studiować. Podobał mi się kraj, ludzie. Czulałam się dobrze z mentalnością brytyjską, pełną rezerwy i tolerancji dla różnych ekscentryków, którzy chcą żyć po swojemu. Znalazłam tam przyjaciół i było mi jak w domu. Miałam dobre studia, chłopaka, z którym bardzo chciałam zostać...

Niestety, musiałam wyjechać. W tej sytuacji stanęło wtedy bardzo wielu obcokrajowców. Margaret Thatcher doszła do władzy, był szczyt bezrobocia, kryzys. Moje studia bardzo dużo kosztowały, nie umiałam zdobyć na nie pieniędzy, zaczynała mnie męczyć zależność finansowa od rodziny i status osoby „tymczasowej”. Nie mogłam uzyskać pozwolenia na pobyt ani na pracę. Nikt z moich przyjaciół nie umiał mi pomóc.



Musiałam wyjechać. Jeszcze pojeździłam trochę po Europie, jeszcze pobylałam u brata — i przyjechałam tutaj. Do Izraela. Kraju, który dał mi obywatelstwo. Rodzice się ucieszyli...

●

Czego najbardziej nie lubię w Izraelu?

Nie opowiadam takich niedyskrecji.

Co lubię?

Krajobraz. To jest mały kraj, ale krajobrazowo bardzo zróżnicowany. Lubię środkową część Izraela, wybrzeże, prześliczny pas między Tel Awiwem a Hajfą, gdzie jest dużo plantacji pomarańcz, dużo cyprysów, krajobraz bardzo zielony, bujny.

Lubię też pustynię. Trochę dziwnie to brzmi: „lubię pustynię”, bo pustyni nie da się lubić — od pustyni albo się wariuje, albo się ją uwielbia. Ona ma tajemniczy wpływ na człowieka, jest w niej taki spokój, mistyka, starożytność. I piękne kolory.

Lubię też zróżnicowanie kulturowe, które tutaj jest. Różnorodność urody, zachowań, akcentów językowych, strojów. Lubię fizyczną energię tutejszych ludzi. Taką bardzo śródziemnomorską. Czasami jest ona niegrzeczna, chamska nawet, lecz w gruncie rzeczy bardzo ciepła i dająca wrażenie bezpośredniości. Tylko wrażenie, oczywiście, bo ludzie są ludźmi i wszędzie mają swoje zahamowania. Ale kontakt z nimi daje poczucie, że można być swobodnym. Że nie ma zbytniego dystansu czy strachu i można sobie pozwolić na wiele.

Czasami na zbyt wiele. Ale to też lubię. W gruncie rzeczy.

●

Jestem tutaj już osiem lat z kawalkiem. Powiadasz, że się zasiedziałam? Trochę tak. I właściwie cała moja energia skupia się na pracy. Jestem grafikiem, robię projekty, zarabiam. Normalne życie. Po prostu do tego dojrzałam.

Czy gdybym była w innym kraju żyłabym inaczej? Nie sędzę. Cóż, skończył się jeden etap w moim życiu, zaczął drugi — normalny rozwój. To by się stało wszędzie, gdziekolwiek bym była. Tak się złożyło, że stało się to w Izraelu. Tak się złożyło, że właśnie tutaj mogłam ci o tym wszystkim opowiedzieć.

---

Magda ze względów osobistych zastrzegła sobie prawo do anonimowości. Zmienione zostało jej imię oraz niektóre realia.

## Tales, mycka i żydowski modlitewnik

### Część pierwsza: Monolog

Na wyjazd z Polski zdecydowałem się czternaście lat — od sześćdziesiątego ósmego. To tak szło na raty. Po Marcu stało się dla mnie jasne, że trzeba się będzie znał Wisły ruszyć, ale w sześćdziesiątym ósmym zrobiłem magisterium, potem zacząłem pracować... Lubię mój zawód. Byłem historykiem, akurat miałem przywilej pracowania we własnym fachu. Pomalu nabierałem nadziei, że może mimo wszystko uda mi się w Polsce normalnie żyć. I dopiero gdy trzynastego grudnia zobaczyłem w telewizji twarz Generała...

To była ostatnia kropla. Ale już wcześniej docierało do mnie, że nad Wisłą normalnie żyć się nie da. Bo planowanie roboty i wyjazdu naukowe podlegały decyzji niekompetentnych półgłówków. I żeby pracować jako historyk musiałem regularnie na Międzynarodowych Targach kraść książki (to była jedyna możliwość ich zdobycia). Ciągle miałem gdzieś też w pamięci Marzec jako przestrożę — bo jeżeli społeczeństwo toleruje taką rzecz, to człowiek po prostu się boi: jednego dnia tylko krzyczą, drugiego może zaczną bić, a trzeciego mordować. I wreszcie — ja nie miałem kwalifikacji na opozycjonistę. A za moich czasów w Polsce była tylko jedna alternatywa: być świętym opozycjonistą i leżeć w kruchcie (a ja katolikiem, jak wiadomo, nie jestem) albo dla kariery adorować sekretarzy partii, życząc im w duszy raka jąder z przerzutami.

Ja po prostu chciałem pracować. Jestem historykiem, zajmuję się andyjskimi Indianami, umiem się nimi zajmować, chcę się zajmować. Co miałem robić w takim kraju?

Podjęcie decyzji o wyjeździe okazało się szalenie łatwe. Trzeba było po prostu wyjechać. Udało mi się dostać zaproszenie do pracy na uniwersytecie w Limie, przekonałem towarzyszy-decydentów (już w stanie wojennym), że ku chwale ojczyzny mój wyjazd jest niezbędny — i ruszyłem. Z ulgą. Zabierając żonę i trochę książek.

Wyjeżdżałem z zamiarem zostania w Andach — w końcu jest to obszar, którym się zawodowo zajmuję — okazało się jednak, że tam profesorska pensja starcza albo na ryż, albo na pokój, w którym ten ryż można ugotować, ale nie na obie te rzeczy naraz, peruwiańska biurokracja jest doskonalsza od nadwiślańskiej, nie mogłem załatwić prawa pracy, prawa stałego pobytu...

Co miałem robić? Poszedłem tam, gdzie człowiek w mojej sytuacji idzie: do agencji żydowskiej. Emigrant jedzie tam, gdzie go wpuszczają. Że emigrant mający odpowiednią krew? Krew nie krew... Musiałem coś przed-

sięwiąć, bo życie bez paszportu w państwie, w którym od paruset lat toczy się wojna domowa, bywa ryzykowne.

Izrael to był dla mnie ostateczny azyl. Miejsce nie najweselejsze, do którego się ucieka wtedy, gdy nie ma już dokąd uciec — ale mające tę zaletę, że można tam nie tylko przyjechać, lecz także stamtąd wyjechać. I gdy się już przyjeżdża, człowiek wysiada na lotnisku i od razu jest obywatelem. Schodzi po schodkach, właściwemu urzędnikowi mówi: „Przyjechałem” — i zostaje obywatelem.<sup>39</sup>

W innych krajach proces zdobywania obywatelstwa trwa latami, czasem bez rezultatu. A tutaj państwo jest tym zainteresowane. Bo kto zostaje obywatelem, ten idzie do wojska. I ktoś, kto do Izraela przyjeżdża, zazwyczaj wie, że jeżeli chce tu mieszkać, pracować i tak dalej, musi regularnie odsługiwać wojsko. Dopóki się tylko będzie ruszał. Kilka tygodni każdego roku.

W Polsce mój stosunek do służby wojskowej był normalny, czyli negatywny. Jestem pacyfistą. Oznaczało to dla mnie wykręcanie się od wojska z a w s z e. Uważałem, że wojna to absurdalna strata czasu i pieniędzy i że w Izraelu zrobię wszystko, by nie być żołnierzem. Tymczasem na miejscu wszystko okazało się zupełnie inaczej. Przekonałem się, że człowiek tu nie tylko idzie służyć i odkrywa, że wojsko może mieć ludzką twarz (że w koszarach można się codziennie umyć, że jedzenie może być jadalne i czysto podane, że może nie być pijanych i obowiązki mogą być rozsądnie rozdzielone), ale też przekonuje się, że n a l e ż y służyć. Bo wojsko jest jedynym warunkiem istnienia tego kraju. Jedyłą gwarancją, że można tu żyć. Jeżeli więc korzystam z bezpieczeństwa, jakie ono daje, nie wolno mi się od niego wykręcać. Dlaczego k t o ś ma za mnie nadstawiać karku?! Ja mogę rozważać zasadność służby wojskowej w Gazie lub na Zachodnim Brzegu<sup>40</sup>, ale nie mogę całkowicie kwestionować sensu wojska w Izraelu.

Zgodziłem się więc na wojsko — na te coroczne, miesięczne lub dwumiesięczne ćwiczenia. Ale gdybym był młodszy... Nie wiem. Nawet wojsko z ludzką twarzą jest głupie i męczące! I świadomość, że w sumie zabiera tu ono ludziom całe sześć lat ich własnego, jedyne go życia...

Młodzi tutaj już tego nie wytrzymują. Właśnie dlatego tyłu ich skłania się ku skrajnym postawom politycznym — prawicowej idei wysiedlenia Arabów za Jordan lub lewicowej idei niezależnego państwa palestyńskiego. Lecz niezależnie od tego, którą z tych opcji reprezentują, u podstaw każdej z nich leży to samo, od lat nękające pragnienie: radykalnej zmiany. Takiej zmiany, która pozwoli wreszcie uwolnić się od tej corocznej wojskowej pańszczyzny. Skończyć z tym interesem. Raz na zawsze. Bo jak długo można.

Pytasz, czy się nie bałem, że w wojsku będę musiał robić rzeczy, których nie chcę: bić Arabów, strzelać do nich. Nie, nie bałem się. Bo pierwsze, czego tu



człowieka uczą to, że ma on prawo odmówić wykonania rozkazu, który uważa za niemoralny i bezprawny. Naprawdę! To pierwsza rzecz, jaką na kursie rekruckim usłyszałem! I pamiętam, że kiedy mówili nam, jak zdobywać budynki wroga i jakiś chłopak spytał, dlaczego my je mamy obchodzić, skoro prościej byłoby rąbnąć z miotacza ognia i po krzyku – to oficer był autentycznie zgorzony i oburzony. Powiedział: „Można, oczywiście, tylko że w ten sposób spalisz i zabijesz wszystkich. A tak to może przeżyć”.

Oczywiście nie musisz ci mówić, że praktyka nie jest sielankowa. Jeśli ktoś odmawia wykonania rozkazu, to sąd wojskowy rozpatruje potem słuszność jego postawy i jak uzna, że facet nie miał racji, biedak idzie siedzieć. Są tacy, co regularnie siadają teraz w kryminale, bo odmawiają służby na ziemiach okupowanych, twierdząc, że to nie jest obrona państwa Izrael. Wojskowi sędziowie oczywiście nie uznają tej argumentacji i chłopcy idą do pierdła. Niemniej dla mnie fakt, że mogę odmówić (mimo, iż potem będę sądzony) stanowi ogromne psychologiczne zabezpieczenie. Daje poczucie, że mam szansę nie przekroczyć tej granicy, której bardzo nie chciałbym przekraczać.

Człowiek jedzie do jakiegoś kraju, o którym w sumie nic nie wie. Co się w Polsce wiedziało o Izraelu? Jak myśmy wyjeżdżali – tylko jedno: to jest kraj, który urządzili sobie Żydzi i do którego Żydzi, gdy chcą, mogą uciekać.

A kto to jest Żyd? Co ci się ze słowem „Żyd” kojarzy? To co wynika z twoich doświadczeń z Żydami z Polski: Żyd ma mieć „aszkenazyjski typ urody”<sup>41</sup> i – być inteligentem. Ludziom naszego pokolenia tak zwane semickie rysy zawsze kojarzą się z zawodem inteligenta, bo Żydzi z innych środowisk po wojnie z Polski wyjechali. Więc kiedy myśmy się z tym wyobrażeniem w Izraelu zjawili i zobaczyli typowych aszkenazyjczyków, zgarbionych i w okularkach, jak zamiatają ulice czy naprawiają rury od sraczy... Nasze doświadczenia z Żydami z Polski nakazywałyby raczej zagadnąć ich o Heideggera, a nie o uszczelkę!

Innym zaskoczeniem było zetknięcie z Żydami marokańskimi. Ci to się na odmianę już z żadnym żydostwem nie kojarzyli. Oni są tak bardzo inni. Jedzą co innego, zachowują się inaczej, mają własną hierarchię wartości, własną wiedzę o świecie. Kiedyś przypadkowo słyszałem, jak dwaj moi koledzy – ulpaniści, Marokańczyk i Tunezyjczyk,<sup>42</sup> zastanawiali się, gdzie na świecie w tej chwili podziewają się smoki, bo od dawna już nikt ich nie widział. I obaj mieli francuską maturę!

Zadziwiają też inne nacje. Kiedyś przybiegła do nas sąsiadka – Kurdyjka, żeby jej wytłumaczyć, dlaczego aszkenazyjscy śpiewacy operowi za-

miast śpiewać, krzyczą. Dla niej, wychowanej według wschodnich kano-  
nów muzycznych klasyczny europejski śpiew to był wstrętny wrzask. Inny  
nasz sąsiad, Jemenita, kiedyś z Daną, moją żoną zaczął marzyć, jak to  
oboje założą sobie ogród. I nagle Dana się zorientowała, że dla niego  
ogród to po prostu palma na trawniku. Oboje, mówiąc o tym samym,  
marzyli o czymś zupełnie innym.

Te odkrycia to jeszcze nic. Ale jak się zorientowaliśmy, że tu jest ileś  
m u r z y ń s k i c h grup różnych wyznań!... Że tu są czarni Arabowie  
(potomkowie niewolników sprowadzanych jeszcze w dziewiętnastym wieku),  
czarni Palestyńczycy (potomkowie pielgrzymów, którzy jechali z Mekki do  
Sudanu i tu zostali), amerykańscy Murzyni ze Stanów (którzy ogłosili, że są  
jedynymi prawdziwymi Hebrajczykami, bo niby jacy ludzie, jak nie Murzyni,  
mogliby wyjść z Mojżeszem z Egiptu będąc niewolnikami?), są wreszcie  
Żydzi etiopscy, którzy wylądowali na lotnisku w tym samym czasie co my, i  
myśmy widzieli, jak ich, obdartych, z samolotów wyprowadzano, a niektó-  
rych nawet wynoszono, bo byli zagłodzeni.

Więc to zdumienie, kiedy się chodziło po ulicach: takie czarne, ładne — i t e ż  
Żydówka?! Wiedziałem, że bywają czarne, ale żeby a ż t a k i e czarne?! Jak  
jeżdżę do pracy w Jerozolimie, to po drodze mijam hinduski moszaw<sup>43</sup>. Tam  
wsiadają hinduskie kobiety, wyglądają jak z Keralii czy Bombaju, zupełnie łanie  
— a to Żydówki z Indii! Ich przodkowie wywedrowali stąd do Indii ponoć jeszcze  
za Aleksandra Wielkiego, poženili się z tamtejszymi ślicznotkami, a teraz  
współczesne pokolenie przyjeżdża tu powolutku od lat pięćdziesiątych.

Ostatnio przeczytałem, że nawet w Chinach odkryto niedawno jakichś  
skośnookich, co to macę pałeczkami jedzą. Tak, Żydzi! Zatracili zupełnie  
swoją fizyczną i kulturową odrębność, są mali, żółci, ale w tradycji rodzinnej  
coś się zachowało: w piątek wieczorem, diabli wiedzą dlaczego — dwie  
świeczki. Babcia podobno jeszcze wiedziała. Oni już nie. Ale palą.

Chińczyków, póki co, w Izraelu jeszcze nie ma. Ale ci wszyscy inni są.  
Żyjąc w tym konglomeracie muszą się oczywiście kłócić i dzielić, i podziały  
między nimi bywają dość skomplikowane. Ale jest coś, co łączy te wszystkie  
nacje: praojciec Abraham (o którym nic naprawdę bliżej nie wiadomo) i —  
wojsko. Przede wszystkim wojsko.

Jak pierwszy raz tu służyłem i znalazłem się w patrolu z takimi mło-  
dymi chłopaczkami — sabrami<sup>44</sup>, jeden z nich mi powiedział: „Ty już nie  
jesteś imigrant, bo służysz w wojsku, jak ja. To nic, że źle mówisz po  
hebrajsku. Ty już jesteś nasz, tutejszy”. A kiedy wróciłem do domu,  
zobaczyłem, jak bardzo zmienił się stosunek do mnie moich sąsiadów czy



woźnych na uniwersytecie. Bo już byłem ten, co odrabia wojsko. Jak każdy. W Izraelu ludzie się dzielą, nie lubią, wymyślają sobie, ale z drugiej strony ten, kto przyjechał, godzi się płacić podatki i odrabiać wojsko, jest „tutejszy”. Szymon Peres, od wielu lat przywódca Partii Pracy<sup>45</sup> miał straszne kłopoty, bo we właściwym czasie nie odbył tu zasadniczej służby wojskowej, więc, zdaniem wielu, jest „nieprawdziwy”. Wypomina mu się to przy każdej kampanii wyborczej.

Ja zdążyłem tu już parę razy służyć w wojsku. Kiedyś nawet dostałem przydział do czegoś w rodzaju izraelskiego ZOMO (tzw. straży granicznej, która rozpędza demonstracje, patroluje i bije) — i miesiąc spędziłem w budce wartowniczej nad Ścianą Płaczu. Nie, nie bałem się, że będę brał udział w potyczkach z Arabami, bo do tego takich dziadów jak ja nie biorą (w koszarach zawsze jest podział na tych od bicia i tych od pilnowania). Za to cieszyło mnie, że to będzie ciekawe. I rzeczywiście było ciekawe.

Widziałem modły wszelkiego rodzaju, demonstracje różne, rzucanie kamieniami, palowanie. Scenariusz zazwyczaj ten sam: Arabowie po zakończeniu nabożeństwa w meczecie<sup>46</sup> zaczynali demonstrację, krzycząc: „Palestyno, odkupimy ciebie ogniem i krwią”, wtedy izraelskie ZOMO przez megafony nakazywało się rozejść, nikt się nie rozchodził, więc ZOMO rzucało gaz łzawiący, a Arabowie kamienie. Potem szły w ruch pały. A ja na to wszystko z budki sobie patrzyłem.

W mojej placówce większość stanowili ochotnicy, którzy podpisali kontrakt na pięć lat, lubią w wojsku posłużyć i lubią sobie pobić. Wszyscy prawie znali arabski. Część z nich to byli zresztą Beduini i Druzowie — jedyne nacje arabskie służące w izraelskim wojsku. Pamiętam taką noc w budce, kiedy dwaj „zomowcy” — Druz i Beduin — tłumaczyli mi zgodnie, że tych parszywych Arabów trzeba rżnąć, bo to wredni zdrajcy. A gdy spytałem mojego Beduina, jaka jest różnica między nim i Arabem, bo obaj są przecież muzułmanami, to mi odpowiedział, że Beduin jest dobrym wojownikiem, a Arab istotą zdrażliwą. I Beduin to człowiek wolny, pasie swoje zwierzęta, gdzie chce, a Arab uprawia ciągle tę samą ziemię albo mieszka w miasteczku, co jest jeszcze gorsze.

Ja mu oczywiście nie zaprzeczałem. Choć wiem, że właśnie Beduini to najprawdziwsi Arabowie. Dawni pustynni koczownicy mówiący najlepszą, być może, arabszczyzną, jaka jest na świecie, pierwsi wyznawcy Proroka i tak dalej. Nie zaprzeczałem, bo on, Beduin swoje przeciw wie. Arabami nazywał po prostu Palestyńczyków.

Beduinów używa się tu często jako tropicieli. Różne się o nich opowiada historie: że potrafią iść po zapachu przez pustynię czy zobaczyć ślady na litych kamieniach. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale to rzeczywiście jedyni tu



ludzie, którzy nie są całkowicie miejscy. Tylko oni potrafią stwierdzić, który grzyb jest jadalny lub do czego służą różne tutejsze ziółka. Nie kiwali się, jak Żydzi, w jeszybotach<sup>47</sup>, rozumieją przyrodę tego kraju i umieją się z nią obchodzić. Więc ile razy jest sygnał, że ktoś przekroczył granicę, zaraz tam się Beduinów przywozi, żeby wytropili.

Druzowie, w przeciwieństwie do Beduinów, nie są ani Arabami, ani muzułmanami. Mówią wprawdzie po arabsku, ale Druzowie to Druzowie. Nikt do nich z zewnątrz nie wejdzie, Druzem można się tylko urodzić. Mają własną, sekretnie strzeżoną religię, żyją w rozproszeniu w Syrii, Libanie i Izraelu, nie lubią właściwie nikogo, bo zawsze próbowali zbudować własne państewko i zawsze ktoś im to starannie burzył. Za czasów Ben Guriona starszyzna druzyjska zdecydowała, że izraelscy Druzowie będą służyć w izraelskiej armii – i służą.

Tutaj mówi się, że Beduini i Druzowie są używani do brudnej wojskowej roboty. Bo żydowska część społeczeństwa nie bardzo to lubi, za to tamci są w tym dobrzy. Przypuszczam, że to przesada. Przede wszystkim chodzi o język. Oni znają arabski. A jeżeli przeciwnik mówi tylko po arabsku, to lepiej, żeby wojsko i policja umiały się porozumiewać w tym języku.

Beduini i Druzowie byli dla mnie egzotyczni. Ale już Jemenici (Żydzi z Jemenu) – zupełnie nie. Oni są tutejszym fenomenem. To jedyna grupa orientalna, która wylała się z podziału sefardyjsko-aszkenazyjskiego i jest szanowana przez aszkenazyjczyków.

Podział na sefardyjczyków i aszkenazyjczyków to najgłębszy kulturowy i społeczny podział w Izraelu. Sefardyjczyk z reguły mieszka w gorszym mieście, chodzi do gorszej szkoły, trudno mu się dostosować do zachodniej hierarchii wartości, bo on ma wschodnie poczucie odpowiedzialności, nakazujące głównie troszczyć się o rodzinę, ma wschodnie poczucie czasu i nie zawsze rozumie, że dziewiąta rano to dziewiąta rano, a skoro tego nie rozumie, to żeby nie wiem jak był zdolny, żadnej pozycji w nauce czy w biznesie nie zdobędzie.

Jemenici tacy nie są. Przywiezieni tu w latach pięćdziesiątych jako dzikusy (znasz tę anegdotkę, że w samolocie wiozącym ich z Jemenu zaczęli krzesać ogień, kiedy przyszła pora jedzenia) – teraz naprawdę świetnie funkcjonują. Ojciec naszego sąsiada – Jemenity zanim przyjechał tutaj, mieszkał w namiocie i nigdy nie widział normalnego domu od środka. Dziś jest nowoczesnym izraelskim ogrodnikiem i hodowcą kur. Jego syn, wykształcony już tu na spawacza i fotografa, oba te zawody wykonuje z talentem, a po sąsiedzku pomaga nam jeszcze zrozumieć tajniki skomplikowanych zachodnich urzędów gospodarstwa domowego, o których nam, przybyszom z europejskiej Polski, nawet się nie śniło.

Tajemnicę tego jemeńskiego fenomenu odkryłem tu dopiero po jakimś

czasie. Jemenici zawdzięczają go swej mitologii uczenia się. Tej samej, którą ja pamiętam z dzieciństwa, ze środowisk żydowskich w Polsce. Ze „nauka jest najważniejsza”. Jak przynosiliśmy świadectwa ze szkoły, to na moim podwórku – a tam była większość żydowskich rodzin – ze wszystkich okien dochodził ryk zirytowanych tatusiów: „ucz się, do cholery!”, a potem odgłosy egzekucji, wrzaski ofiar i pochlipywania mamusi.

Dlaczego tę mitologię uczenia się mają tylko Żydzi polscy i jemeńscy – sam chciałbym wiedzieć. Ale mają. Jemenici uczą się tu niesamowicie. Są inteligentni, sprawni, porządni i budzą zaufanie. Jak ja w wojsku mam iść na patrol z dowódcą-Jemenitą, to wolę z nim niż z kimkolwiek innym. Bo wiem, że wtedy wszystko będzie tak jak trzeba, bez żadnych wrzasków, gwałtów i machlojek, nic nie zostanie zagubione ani zapomniane, a po drodze jeszcze się kawki napijemy.

Hebrajskiego nauczyliśmy się z Daną w centrum adaptacyjnym w Beer Szewie (mieście na pustyni Negew). Uczyliśmy się cały dzień, rano na lekcjach, po południu w domu. Nauczyliśmy się tyle, by się z grubsza w sklepie dogadać. Ale jak nam dali końcowe świadectwa, tośmy ich nie potrafili przeczytać. Nasze dwa wyglądały zresztą jakoś inaczej niż pozostałe. Kiedy zapytaliśmy, dlaczego, okazało się, że są z wyróżnieniem. Byliśmy najlepsi. Ale to jeszcze nie wystarczało, byśmy mogli się tego z naszych świadectw dowiedzieć. To jest potwornie stresujące. Zwłaszcza na początku. Dzieje się tak strasznie dużo rzeczy, tego cholernego języka się nie rozumie, napisów się nie rozumie. Ten język jest inny w miasteczku, w którym mieszkamy, inny w Tel Awiwie, inny w radiu, inny na uniwersytecie. W języku mówionym używa się innych słów niż w pisanym, rzeczowniki odmienia się przez osoby... Czasem to wszystko wydaje się zupełnie nie do pokonania! I jest tylko jedna pociecha: że inni mają podobne kłopoty.

Przyjrzyj się, jakie książki są tu u ludzi na półkach. Przecież nie hebrajskie! Możesz mieszkać w Izraelu od lat, świetnie dawać sobie radę z językiem, ale jak chcesz sobie poczytać do poduszki... Nawet nasza nauczycielka hebrajskiego (urodzona w Rumunii, ale jest tu tak dawno, że po rumuńsku już nie rozumie), zapytana, w jakim języku czyta dla rozrywki, odpowiada: oczywiście wyłącznie po angielsku!

Ci, co się urodzili poza Izraelem nie używają hebrajskiego, jak nie muszą. Jeżeli rozmawiają z kimś obcym i słyszą akcent nie bardzo hebrajski, natychmiast wybierają dogodniejszy język. Nasz sąsiad, Argentyńczyk, porozumiewa się z dziećmi sąsiadów-Rumunów w języku rumuńsko-argentyńsko-hiszpańskim. Nasz kolega, Polak, który pracuje w urzędzie telefoni-



cznym, używa rosyjskiego, bo ma większość Rosjan u siebie w pracy. Dana, jak spotyka kogoś bardziej przypominającego Latynosa niż Izraelczyka, przechodzi na hiszpański. Wszystko to razem bywa zabawne, tylko że skutki są czasami okropne. Bo nikt się z nikim nie może dogadać w oficjalnym języku — języku przodków.

Jeszcze nim tu przyjechałem, korespondowałem z uczelnią w sprawie pracy. Odpisywał mi facet, o którym myślałem, że jest z Ameryki. Okazało się, że z Krakowa. Hiszpańskiego przyjechała tu uczyć osoba z Peru, która urodziła się i wychowała w Warszawie. Opiekunką działu hiszpańskojęzycznego w bibliotece mojego uniwersytetu jest pani z Katowic. Jak widać, z Polski zbyt daleko wyjechać mi się nie udało.

Ano, nie udało. Tam Polska była od morza do morza — tu Izrael od morza do morza. Tam swój do swego po swoje — tu swój do swego po swoje. Prawie wszystkie partie polityczne, jakie tu istnieją, powstały w Polsce i chore są na wszystkie polskie choroby, łącznie ze stosunkiem do mniejszości narodowych, który się waha pomiędzy piłsudczykowskim a endeckim. O Ben Gurionie mówiono tu, że jest jak marszałek Piłsudski, a miejsce, gdzie stała jego willa w Izraelu, nazywano Sulejówką. Pytasz, skąd był Ben Gurion? Z Płońska, oczywiście, a niby skąd miał być?!

Straszy tu nie tylko Polska nacjonalistyczna. Tu straszy Polska socjalistyczna. Ja naprawdę nie spodziewałem się, że w Izraelu, kraju gospodarki rynkowej, będzie w tak dużym stopniu istnieć socjalistyczne zatrudnienie społeczne. Tabuny zupełnie niepotrzebnych urzędników w przemyśle państwowym, w administracji, nawet w instytucjach prywatnych. Obsadzanie państwowych stanowisk kierowniczych z klucza partyjnego. Jeżeli w danej okolicy rządzi Likud<sup>48</sup>, urzędy obsadza się likudnikami, a tych z Partii Pracy wyrzuca, choćby byli geniuszami. Jeżeli rządzi Partia Pracy, jest to samo, tylko odwrotnie.

Inna nadwiślańska cecha: protekcja. Jadąc tu spodziewałem się państwa znacznie uboższego, ale za to bardziej praworządnego. Tymczasem tu słowo „protekcja” brzmi tak samo jak po polsku i znaczy dokładnie to samo, a zamiast znajomości prawa ważniejsze jest, by znać Icka, który zna Szmulika, który zadzwoni do ciotki Racheli. Jak w Polsce! Nawet łatwiej niż w Polsce, bo łatwiej się dopytać, kto jest właściwym Szmulikiem, łatwiej do niego dotrzeć, nie ma obyczaju dawania czekoladek, kwiatków, łapówek — po prostu dzwoni się i mówi się, czym jesteś znajomym.

Że burdel w instytucjach jest z tego przeogromny, nie muszę ci mówić. Ale zobacz, jaki tu jest burdel w prawie! Tu równocześnie obowiązują prawa



sultańskie, brytyjskie, muzułmańskie i żydowskie.<sup>49</sup> Prawo jest częściowo precedensowe na sposób brytyjski, a częściowo nie. Większość adwokatów nie umie nawet czytać ustaw, które tu obowiązują, bo nie zna tylu języków. A zresztą nawet gdyby przepisy formułowane były tylko po hebrajsku, też nic by nie pomogło, bo połowa obywateli tego kraju (imigranci) musiałaby dokonać wielkiego wysiłku, by się o tych przepisach dowiedzieć i móc je zrozumieć. Więc po co? Czy nie prościej spotkać właściwego Icka, który zna Szmulika, który zadzwoni do ciotki Racheli?

Znaleźć żydowskich prawników na tym świecie nie jest wielką sztuką. Więc sądziłem, że skoro państwo jest młode, to działający dzień w dzień parlament zdążył już coś wyprodukować. Tymczasem w Izraelu nie ma nawet konstytucji! Bo skoro mamy Torę, którą dał nam Mojżesz z rąk samego Pana Boga, to na cholerę nam konstytucja? Co jakiś czas prawnicy podejmują rozpaczliwe akcje, krzyczą, że z konstytucją łatwiej byłoby wysmażyć pewne ustawy, lecz parlament wciąż nie daje na to zgody. Bo w Izraelu nie ma rozdziału państwa od religii.

Tak. Nie ma tu na przykład państwowego prawa rodzinnego, tylko religijne. Więc Żydzi w Izraelu mogą się rozwodzić, bo w judaizmie rozwód jest dozwolony, a katolicycy obywatele Izraela nie. Żydzi aszkenazyjscy mogą mieć tylko jedną żonę, a Żydzi jemeńscy dwie. Na domiar złego w Izraelu jedynie ortodoksyjni rabini są „prawdziwi”. Jeżeli ślubu udziela ci rabin nieortodoksyjny, twój ślub jest nieważny, musi być potwierdzony przez rabina ortodoksyjnego. Wygląda to tak, jakby Żyd nie miał wolności wyznania w Izraelu, nie mógł być Żydem konserwatywnym, reformowanym<sup>50</sup> czy rekonstrukcjonistą<sup>51</sup>, lecz tylko Żydem ortodoksyjnym, z lisią czapą, kapotą i chodzeniem do mykwy.

Że przesadzam? Bynajmniej. Rzecz w tym, że ludzie nauczyli się z tym żyć. Jak się żenią, to albo poza Izraelem, albo godzą się na ortodoksyjny ślub, wykonują parę teatralnych gestów, by potem wrócić do normalnego życia. Jeśli chcą poza domem zjeść obiad w sobotę, szukają arabskiej restauracji. Jak mają ochotę na szynkę, znajdują niekoszerny sklepik w Tel Awiwie.

Można z tym żyć, na „czarnych” patrzeć jak na folklor, przyjmować jako ciekawostkę to, że od czasu do czasu wyrzucą oni z cmentarza jakiegoś trupa, stwierdziwszy, że mu żydowski pochówek nie przysługuje, czy że innemu nieboszczykowi zetną kwiaty z mogiły, bo tradycja żydowska nakazuje na grób kłaść wyłącznie kamienie. Do pewnego stopnia jest to nawet zabawne. Ale...

Na uniwersytecie hebrajskim jedną z najgorzej rozwiniętych dziedzin jest antropologia. Dlaczego? Bo w tej materii bardzo łatwo narazić się religijnym. Przecież antropologia w Izraelu to powinna być kopalnia materiału!

Na ten kawałek ziemi przyjechali ludzie tylu różnych kolorów, ras, można by robić fascynujące rzeczy! Ale nie: Bo a nuż podpadnie się religijnym.

Dwa tygodnie temu otworzono muzeum historii Jerozolimy. Ale nie ma tam żadnego działu obejmującego archeologicznie znane wydarzenia sprzed Abrahama, bo religijni mogliby się zdenerwować. Kiedyś podobno w Hajfie zamknięto wystawę dinozaurów. Bo rabini stwierdzili, że dinazury są niezgodne z Pismem Świętym, więc nie istniały.

Dawniej nie wierzyłem w podobne anegdotki, lecz teraz wierzę, bo wiem, że są prawdziwe. Światła część społeczeństwa dystansuje się, oczywiście, od religijnych i co jakiś czas powracają dyskusje o konieczności ograniczenia ich wpływów, lecz gdy przychodzi sobota, to na przykład w Beer Szewie, stusześdziesięciotysięcznym mieście na Pustyni Negew, tłum ludzi umiera z nudów. Kino zamknięte, kafejka zamknięta, pojechać samochodem nigdzie nie można, bo pustynia, więc wszyscy łąą po śródmieściu z tępą miną i gryzą pestki.

Sprawę sobót dawno już to społeczeństwo przegrało. Podobnie jak sprawę uchwalenia konstytucji, uchwalenia prawa cywilnego, czy zatrzymania dotacji budżetowych na instytucje religijne. A przegrało z przyczyn politycznych. Bo w Izraelu, od kiedy on istnieje, ilekroć jakaś wielka partia chciała sformować rząd, musiała stworzyć koalicję z którąś z partii religijnych. Inaczej nie miałyby większości w parlamencie. Taką cenę płaci się tu za demokrację.

Sprawa arabska? Oo, tutaj bardzo się zmienił nasz stosunek do tego. Myśmy startowali od postawy, którą przyjmuje większość przyjeżdżających z Europy: że jest się po stronie prześladowanych Arabów. Rzeczywiście, jak człowiek ogląda to, co pokazuje światowa telewizja, może pomyśleć, że mniejszość arabska jest wyłącznie bita.

Myśmy też tak myśleli – i już nie myślimy. Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. I moje pretensje, że społeczeństwo izraelskie nie umie znaleźć z tego wyjścia, są mniejsze niż dawniej. Bo ja sam nie umiem. Kiedyś mawiałem: „Jeżeli jakiś naród buduje państwo krzycząc: «Mamy do tego prawo», to niech się zgodzi, że ten drugi naród też ma do tego prawo. I niech pójdzie na kompromis”. Teraz jednak rozumiem ten społeczny pat. Rozumiem ludzi, którzy mówią: „Dobrze, lecz kto zagwarantuje, że jak oddamy ziemię, to nie będą nam strzelać w okna?”.

Bo co innego słyszeć o konflikcie, a co innego zobaczyć tę koszmarną geografiją: z Jerozolimy do Tel Awiwu jedzie się przez ziemię okupowane (inaczej trzeba by robić potworny zygzak), z Beer Szewy do Jerozolimy tak samo. I teraz: oddasz te tereny, granica będzie przebiegać dokładnie pod oknami mojego uniwersytetu (tam zaczynają się ziemię okupowane) – i co?



Kto zagwarantuje, że po drugiej stronie granicy będzie rząd na tyle sprawny i demokratyczny, by nie doprowadzić do kolejnej wojny? Czy w ogóle ktoś kiedyś potrafił wskazać demokratyczny rząd arabski? Czy ktoś kiedyś potrafił wskazać rząd arabski, który nie posługiwałby się hasłem wojny z Izraelem, żeby trzymać za mordę swoich obywateli?

Pytanie o strzały w okna nie jest retoryczne. To strzelanie już było. Wszyscy na przykład pytają, po cholere Żydzi wleźli do Libanu. Oczywiście, wleźli głupio z różnych głupich powodów (liczono na zrobienie proizraelskiego rządu, na utworzenie izraelsko-libańskiej strefy wspólnego rynku w sojuszu z libańskimi chrześcijanami, na to, że się zagrozi Syrii) — ale jeden powód na pewno był prawdziwy: by skończyło się wreszcie ostrzeliwanie północnych osiedli Izraela. W mieście Kirjat Szmona ludzie spędzali noc w schronach i nigdy nie wiedzieli, co im na łeb spadnie.

Po wojnie libańskiej to strzelanie się skończyło. W Kirjat Szmona można spać w domu. Ale jak oddamy ziemie, to kto zagwarantuje...

Ja głoszę na ruch praw obywatelskich. Chodzę i wrzeszczę, że jedynym sposobem zakończenia konfliktu jest, żeby Izrael za własną forszę zbudował państwo palestyńskie. Chcę zabrane tereny jak najszybciej oddać, bo sytuacja, w której są ziemie okupowane i tania arabska siła robocza, prowadzi do tworzenia nowej RPA. Bo bycie okupantem jest demoralizujące i zbrodnicze. Ale — co dalej?

W dodatku ten straszliwy pat polityczny! Tutaj rząd, jeżeli istnieje, jest zawsze produktem jakiegoś consensusu społecznego. Połowa przynajmniej wyborców głosuje za tym, żeby żadnych aneksji nie robić, druga połowa za tym, żeby anektować, władze z powodu braku większości od lat nie są w stanie przedsięwziąć niczego konkretnego w sprawie ziem okupowanych. A przy tym powszechnie wiadomo, że Izraela nie stać na zbrodnie w stylu wielkich mocarstw, więc Arabów nigdzie wypędzić się nie da, powstania stłumić się nie da, jedyne rozwiązanie to rozwiązanie polityczne: pokój i oddanie terytoriów, ale — co dalej?

Cała ta sytuacja jest tragiczna również dlatego, że Żydzi nie skończyli robić tego, co zaczęli, bo sami się sparaliżowali. Stworzyli na ziemiach okupowanych warunki rozwoju gospodarczego, rozwoju oświaty, powstały arabskie szkoły, arabskie uniwersytety (za jordańskich czasów nie było żadnego), te uniwersytety zaczęły produkować ludzi z wyższym wykształceniem — i koniec. Nie ma niczego, co mogłoby wchłonąć tych intelektualistów.

W starym Izraelu też jest nie lepiej. Na uniwersytetach hebrajskich studiuje trochę izraelskich Arabów (obywateli państwa Izrael), ale oni potem nie mogą znaleźć pracy! Bo na przykład Araba-biochemika nikt ze strachu do



żadnego laboratorium w Izraelu nie wpuści, on będzie mógł iść tylko do szkoły, i to arabskiej, a ile jest arabskich szkół w starym Izraelu?

Pytasz, czy mamy jakichś zaprzyjaźnionych Arabów. Wolne żarty! Choć przyjeżdżając tutaj nie przypuszczaliśmy, że tyle nas będzie od Arabów dzielić. Dla nas Arab to był normalny człowiek, z którym można normalnie pogadać i normalnie się zaprzyjaźnić. Ale to była iluzja. Dawno już jej nie mamy. Ją się traci stopniowo, w miarę jak człowiek dowiadyuje się o różnych wydarzeniach, jak widzi, co się tu dzieje.

W naszym miasteczku, na przykład, ludzie się właściwie poza osiedle i szosę nie ruszają. My jesteśmy chyba jedyni, którzy tu jeszcze chodzą na spacer, na wzgórze, kilkaset metrów od domu. Ale widziałas jak chodzimy. Żeby być widocznym z szosy, żeby nie skręcić w zbyt zalesione miejsce. Cały czas główkujemy, czy na tę górkę jeszcze można, czy lepiej już nie. Czy do tej palmy zaryzykować, czy odejść, bo pod nią może spać Arab. I jest tak: niby mieszkamy w państwie żydowskim, niby Arabowie są dyskryminowani, prześladowani, legitymuje się ich na każdym kroku, ale tak naprawdę to ja, obywatel tego państwa, nie posiadam tu wolności poruszania się. Bo jak mam trochę oleju w głowie, to na tamtą górkę nie pójdę.

Kilka miesięcy temu czytałem dramatyczny reportaż o jakiejś szlachetnej izraelskiej panience, która wspólnie z kolegami jeździła do Hebronu<sup>52</sup>, żeby zbliżyć się do młodzieży arabskiej. To jakiś czas trwało, więzy robiły się coraz silniejsze, aliści w pewnym momencie młodzi Arabowie doszli do wniosku, że panienska na pewno musi pracować dla izraelskiej bezpieki i zamęczyli ją w sposób zgoła esesmański.

To jest strach. Potworny strach, który działa w obie strony i prowadzi do najprzedejwiwniejszych okropności, zbrodni i głupot. Ja się boję jego, a on mnie. Zaprzyjaźnianie się w takich warunkach...

Poza tym obie grupy żyją w separacji. To jest przepaść kulturowa, językowa, społeczna. Co ja wiem o facecie, który przychodzi, sprząta uniwersytet, a w tym i mój pokój? Nic. Ale też nie wiem, czy koniecznie chcę wiedzieć. Widzę go prawie w ten sam sposób, jak Paryżanin murzyńskiego zamiatacza: jest coś takiego, co ma pecha i bierze się do niewykwalifikowanych robót. Ale co nas to może obchodzić? Niech zamiecie.

I wreszcie: kontakt to język. Ja mam wystarczające kłopoty z hebrajskim, bym się jeszcze uczył arabskiego, uchowaj Boże. A żeby naprawdę wiedzieć, co oni mówią, musiałbym się arabskiego nauczyć. Tłumacz jest zawsze oszustem. Wiem, bo tłumaczę.

Nie mam więc kontaktu z Arabami. Ani na gruncie zawodowym, ani towarzyskim, ani sąsiedzkim. Oni tu są, żyją w tym swoim arabsko-palestyńskim świecie – a ja żyję w Izraelu. W żydowskim Izraelu. I dopóki nie włączę w coś, co można

nazwać terenem okupowanym, dopóki nie pcham się na Stare Miasto, do wschodniej Jerozolimy,<sup>53</sup> dopóki wiem, do jakiej góry mogę dojść...

## Część druga: Rozmowa

**Ja:** Kiedy się zastanawiam (bo właściwie, dlaczego nie?), czy mogłabym mieszkać tutaj, nasuwa mi się podstawowa wątpliwość: że się tu chyba nie czułabym u siebie. Jak wczoraj mówiłeś o tych Beduinach, co znają każdy kąt, każdy załomek tej ziemi, a wy o tym wszystkim nie macie zielonego pojęcia...

**Janek:** Że nie jesteśmy „tutejsi”? Odwróćmy to: ile lat trzeba, żeby w Polsce zostać „tutejszym”? Żydzi nie zdołali przez setki lat. W Izraelu jest cała kupa tych, co przyjechali tu po drugiej wojnie światowej (a może i przed) głównie dlatego, że gdzie indziej nie udało im się zostać „tutejszymi”. W Polsce Polakiem mógł zostać Niemiec, Ormianin – ale nie Żyd! Więc przyjechali tutaj. Powstał naród. Izraelski naród tych, co chcą być „tutejsi”, choć może nie znają każdego kamienia tej ziemi.

Ja po przyjeździe tu przestałem wreszcie być cudzoziemcem. Pierwszy raz w życiu jestem bezprzymiotnikowy. Owszem, sąsiedzi mówią o mnie „Polak”, ale nie ma to większego znaczenia. Przede wszystkim jestem ten z drugiego piętra, co stuka na maszynie.

Tak, w Polsce byłem przymiotnikowy. „Nietutejszy”. Tyle razy mnie pytano: „A pan to właściwie skąd?”. Tyle razy ktoś się doszukał, że wyglądam nietypowo, mam nietypowy akcent. I nie były to nawet chamskie odzywki w rodzaju: „O, Żyd!”. Po prostu uważano mnie za cudzoziemca, bo byłem czarny.

Nie, w Polsce nie jest łatwo zostać „tutejszym”. „Tutejszy” musi być taki sam. Musi mieć swoje imieniny. Nie może się odróżniać. Podejrzewam, że rozmaici nasi znajomi właśnie dlatego odbierali bycie Żydem jako syfilis, zarazę, sytuację krzywdzącą, że czuli się nieakceptowani jako „nietutejsi”. Polskie społeczeństwo „nietutejszych” nie lubi. A Izrael leczy z choroby „nietutejszości”.

Czy ja sam jestem tu dlatego, żeby móc być „tutejszym”? Nie. Ja akurat nie. Bo nie odczuwam potrzeby przynależności narodowej. Z kultury i narodowości jestem historykiem. Mogę żyć wszędzie tam, gdzie są uniwersytety z wydziałami historii. Gdzie są ludzie, do których można otworzyć gębę, gdzie są biblioteki, gdzie cenzura jest zakazana, gdzie mogę spokojnie pracować, nie robiąc głupich planów i sprawozdań. A czy się siedzi na kanapie czy na podłodze, czy się chodzi w prześcieradle czy w ponczo...



Izrael jest dla mnie komfortowy również dlatego, że się tu nie muszę bać. Siedzę, pracuję, bez strachu, że mi ktoś umundurowany o drugiej w nocy każe iść na jakieś rozmowy. A w Polsce to różnie bywało. Mój wujek, na przykład, który zawsze uważał się za Polaka, w czasie wojny dwa razy siedział w pociągu do gazu. Bo polscy koledzy donieśli, że Żyd. On przeżył, dalej twardo nad Wisłą siedzi, dalej uważa się za Polaka, lecz tak naprawdę boi się. Potwornie. I ja zawsze, jak jakiegoś Żyda w Polsce spotykałem, to po jakimś czasie stwierdzałem, że się bał. Każdy się bał. A ja swój strach mam już za sobą.

Jak długo nie będę się bał? Pewnie niedługo. Już mam takiego pecha, że gdzie pojedę, tam się coś dzieje. Jak przyjechałem do Ayacucho, to się zaczęło wielkie strzelanie. Jak uciekłem stamtąd do Warszawy, to w miesiąc potem General rozwiązał naród. Jak daliśmy nogę do Limy, to tam właśnie dotarł stan wyjątkowy. Jak przyjechaliśmy tutaj, od razu zaczęło się psuć.

**Ja:** I gdzie teraz pojedziesz?

**Janek:** Zostanę. Możliwości emigracji nie są nieograniczone.

**Ja:** Zostaniesz jako Polak? Jako ten z drugiego piętra? Jako Izraelczyk?

**Janek:** Gdybym miał wybór, nigdy nie wypełniałbym rubryki „wyznanie” czy „narodowość”. Przecież dziś w świecie, który jest coraz mniejszy, coraz bardziej jednolity, deklaracja: „bronię wartości świętych narodów” jest okrzykiem jaskiniowca! Ja nie żądam bynajmniej wyćpienia języków i zastąpienia ich esperanto, broń mnie Panie Boże! Nie chcę Polakom odbierać ich Matki Boskiej, Żydom Ściany Płaczu, muzułmanom Mekki — a pielęgnujcie je sobie na zdrowie!

Tylko pamiętajcie, że mieszkacie na jednym świecie. Nic więcej.

**Ja:** Kiedy rozmawiam z różnymi weteranami, co w latach trzydziestych tę ziemię zdobywali, obrabiali, czynili mlekiem i miodem płynącą, to mówią mi, że tu była pustka i oni niczego nikomu nie odbierali. Lecz gdy ich bardziej przycisnąć do muru, to ta ich pusta ziemia zaczyna się zapelniać. Ona nie była pustką tylko pastwiskiem. Pastwiskiem używanym przez Arabów.

**Janek:** Nie tylko pastwiskiem. Parę arabskich miast tu istniało, ośmielałem się zauważyć. Jeruzolima, Ramle, Jaffo, Nablus. Parę miast, jacyś chłopcy uprawiający oliwki i winogrona. Żydzi nie przyjechali w pustkę. Przyjechali do słabo zaludnionego kraju, ale nie była to ziemia bezpańska.

Zaczęli z końcem XIX lub początkiem XX wieku. Jeszcze przed wielkimi wojnami żydowsko-arabskimi. Przyjeżdżali, by kupować ziemię na żydowskie



kolonie, lecz przybywali ze świata, w którym rzymskie prawo własności mówiło, że jeżeli ktoś coś sprzedaje, to jako całkowity właściciel danego mienia. Tymczasem tutaj prawo własności było podzielone. Ktoś inny formalnie posiadał ziemię, ktoś inny mógł wypasać na niej owce, ktoś inny miał przywilej zbierania ziółek. Żydzi, kupiwszy ziemię od notabla (oczywiście oszusta), byli święcie przekonani, że jest ona już ich i stawiali na niej płot. A wtedy jakiś Abdallah czy Mahmud, co tam zawsze swoje owce pasał, ni cholery nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

Zderzały się ze sobą dwa porządki prawne. Prowadziło to do różnych gwałtów i wyrzynań. Czasem wyrzynani byli Żydzi, czasem Arabowie. Potem skomplikowało się to jeszcze bardziej, bo kolonizacja żydowska wywołała zapotrzebowanie na arabską żywność i pracę (Żydzi jeszcze nie bardzo umieli być rolnikami), więc wraz z przybywającymi tu Żydami zaczęła do Palestyny ściągać ludność arabska. Równoległe z powstawaniem narodu izraelskiego powstawał naród palestyński i obie strony bardzo boleśnie uczyły się na sobie wzajemnych nacjonalizmów.

**Ja:** Więc to nie zostało podbite?

**Janek:** Zostało. Ja nie zaprzeczam, że zostało podbite.

**Ja:** Czyli że nie wszystko jest w porządku. Legitymacja Izraela do tych ziem nie jest do końca oczywista?

**Janek:** Oczywista – nieoczywista... Przypomnij sobie tę ośmioletnią Kurdyjkę, to dziecko, które wczoraj do nas przyszło! Hebrajski jest jedynym językiem, jaki będzie znała. Tu się urodziła i do głowy jej nie przyjdzie, że tego kraju kiedyś nie było. Jest Izraelką. Nawet nie Żydówką, tylko Izraelką. Zapytana o pochodzenie, też nie powie, że Żydówką, lecz że Kurdyjka.

Albo popatrz na te wszystkie babcie tutaj, na te ciocie Małki, ciocie Lipcie, co dożyły tu starych lat i emerytury. Gdzie mają pójść? Do Stanów? Do Warszawy? Do Łodzi? Wilna? Kijowa? Lwowa? Pamiętaj, że ludzie, co po wojnie przyjeżdżali tu z Europy, po prostu nie mieli innego wyjścia!

Spotkałem kiedyś faceta z Międzyrzecza Podlaskiego. Przeżył wojnę, a po wojnie okazało się, że jest jedynym Żydem w Międzyrzeczu. Popłakał i przyjechał tu, do Izraela. Tu przynajmniej było miejsce, gdzie nie musiał się bać, że jest Żydem! Studiować hebrajski można gdzie indziej, czytać Torę można gdzie indziej, kibuc nawet da się założyć na przykład w Stanach Zjednoczonych, ale n i e b a ć s i ę, że jest się Żydem...

**Ja:** Ale tu jest trochę jak na wulkanie?

**Janek:** Tu jest jak na wulkanie. Ale tej zabawy nie można zakończyć. Jej uczestnicy nie mogą powiedzieć: to ja teraz idę na moje podwórko. Bo nie

mają innego podwórka. Prawie połowa tutejszej ludności pochodzi z nad Wisły. Więc miałyby wrócić nad Wisłę? Czy ten kraj nad Wisłą by to wytrzymał? Czy jakkolwiek inny kraj by to wytrzymał?

Znasz tę historię o statku z Hamburga: w trzydziestym którymś roku wypłynął z Hamburga statek pełen niemieckich Żydów. Dostali od hitlerowców zezwolenie na opuszczenie Niemiec i mogli się uratować. Pływali, pływali, lecz nikt ich do żadnego portu nie wpuścił. Tu rządili Anglicy i też nie wpuszczali.<sup>54</sup> Statek wrócił więc do Niemiec. I oczywiście nikt nie przeżył. Ale gdyby wtedy istniało państwo Izrael... Gdyby istniało państwo Izrael, może istnieliby dziś i polscy Żydzi?

**Ja:** Jak byś się urodził sto lat temu, to byś tu przyjechał?

**Janek:** Gdybym w tysiąc dziewięćsetnym roku wiedział, że w czterdzieści lat później z polskich Żydów zostanie tylko mydło, to bym przyjechał.

**Ja:** Podbijając?

**Janek:** Pewnie wtedy tak. Gdybym wiedział. Ale mojej rodzinie na coś takiego wyobraźni nie starczyło. Dziadek dziewięćdziesiąt lat temu dorabiał się pieniędzy w Odessie. A reszta rodziny? Oni strasznie chcieli być Polakami! No i tak. Kto ocalał, ten ocalał, a kto nie, ten nie.

**Ja:** A ty, pół wieku później, siedzisz w Izraelu i piszesz książki o Indianach. Na wulkanie. Wśród Arabów. Wysepka szczęśliwości otoczona morzem okupacji.

**Janek:** Morzem okupacji! Posłuchaj: nie ja łamałem ręce jakimś nieszczęsnym aresztowanym. Nie ja spychaczem Palestyńczyków zasypywałem. To, co mogę zrobić, to głośno i wyraźnie potępiać, krzyczeć, że mieszkamy na ziemiach okupowanych, że Palestyńczycy mają prawo do własnego państwa i musimy pozwolić im je stworzyć. Lecz nie mogę powiedzieć: „Dobrze, to wyjedźmy stąd do Stanów Zjednoczonych”. Bo ani w Stanach, ani nad Wisłą nas nie chcą.

Tak, przyjechałem tutaj, żeby pisać książki. I żeby mi było lepiej, a nie gorzej. Czy to coś złego, że jest mi tu dobrze? Każdy żyje w jakiejś niszy ekologicznej. A ty nie? Przecież wiesz, że w Polsce na komisariatach biją, że dzieją się straszne rzeczy, a mimo to pozwalasz sobie czasem na to, żeby ci było dobrze?

Nie żądam od ludzi, żeby uzdrawiali cały świat. Ci, co tu przyjeżdżali, najpierw mieli ochotę uzdrowić samych siebie. Ze strachu. Z braku poczucia normalności. To jest niesamowite, ta psychoterapeutyczna rola Izraela, którą pełni on w wielomilionowej społeczności żydowskiej diaspory. Ludzie

skłonni są płacić ogromną cenę za to, żeby się nie bać, żeby nie być pierwszym w kolejce na mydło.

O mnie można złośliwie powiedzieć, że się na żydostwo załapałem. No dobrze. Załapałem się. Mój szkolny kolega kieruje w Kalifornii projektem badań fizycznych za kilkadziesiąt milionów dolarów. Też się załapał, choć na coś innego. Wiesz, ile kosztuje teraz w Rumunii wżenie się w żydowską rodzinę dające prawo wyjazdu do Izraela?! Ci, co się tam wżeniłi, też się załapali. A Żydzi z Jemenu i z Etiopii się nie załapali? Też się załapali! Dzięki temu przynajmniej nie umrą z głodu.

No i widzisz: pierwsze miejsce w kolejce na mydło zamienia się w pierwsze miejsce w kolejce po mydło. Nie sądzę zresztą, że na długo. Ten kraj jest jak rower. Stanie, to się przewróci. Jakies dwadzieścia lat może ten pieprznik potrwa, a potem się przewróci. Państwo Izrael, jak zwykle, okaże się tworem nietrwającym.

Ja: Wiesz, przed przyjazdem tu spotykałam w Warszawie ludzi, którzy tę podróż odbyli wcześniej. Mówili: „Zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi!” – z podtekstem, że będzie to dla mnie ważne jako dla Żydówki. Że coś tu odnajdę, pojedę „do swoich”. Człowiek niby ma dystans do takiego gadania, w skrytości ducha myśli jednak: „Może?”.

Więc jestem tu – i niewiele odnajduję. Przeciwnie, wyraźnie uświadamiam sobie swą inność i obcość. Wszyscy chcą mnie do czegoś przekonać. Religijni Żydzi do słuszności życia w ich wierze (tylko w i c h wierze!), laicy Żydzi do słuszności swego wyboru i słuszności żydowskich żalów wobec świata. I te wszystkie rozmowy mają tak wysoki poziom emocji! Nie ma tu miejsca na wahanie słuchacza, na wątpliwości, dystans...

Ja się tego boję. I zawsze się bałam. W Polsce drętwiałam słysząc, że „dobry Niemiec to martwy Niemiec” czy, że „każdy Rusek ma diabła za skórą”, a tu ciągle mi mówią, jaki jest k a ż d y Arab, jacy są z a w s z e Polacy. I chcą, żebym za nimi powtarzała: „Tak, Polacy to antysemita”. Choć potem sami przyznają, że nie wszyscy i że często jest wręcz przeciwnie.

Intelektualnie to wszystko rozumiem. Że ten kraj jest jedną wielką raną, która jeszcze długo nie będzie się mogła zabiżnić. Ale lękam się natarczywości moich rozmówców. Ich chęci przeciągnięcia mnie na swoją stronę, na stronę jednoznacznych ocen i identyfikacji.

Kiedyś w Polsce wypełniałam ankietę socjologiczną badającą tożsamość narodową osób żydowskiego pochodzenia. Było tam pytanie: „Czy czujesz się inny?”. Obruszyłam się – dlaczego bycie „innym” traktować od razu jako wyróżnik żydostwa? – lecz odpowiedziałam, że tak, pamiętając o tej



mojej niechęci do zbiorowych identyfikacji. I znów się zastanawiałam: czemu ma to być cecha żydowska, a nie po prostu inteligencka lub właściwa pewnemu rodzajowi ludzi? Czy gdybym miała w żyłach aryjską krew, nie stałabym pół kroku z tyłu, nie pytał: „Ale z drugiej strony?”. A jeśli ta wątpiąca postawa ma być właśnie żydowską cechą, to dlaczego tu, w Izraelu ja jej wcale nie odnajduję? Tylko wciąż słyszę wokół: „my – wy – oni, my – wy – oni”.

**Janek:** To bardzo ponure pytanie. Pytanie o formację intelektualną, z której ty się możesz wywodzić. A raczej ponura jest na to odpowiedź. Odpowiem ci mętnie, ale tak jak umiem.

Kilkadziesiąt lat temu w Europie Środkowej powstała bardzo specyficzna grupa. Bezwyznaniowa, kosmopolityczna, wielojęzyczna, ze skłonnością do różnych liberalno-oświeceniowych tradycji. Trochę do lewicy, trochę do anarchizmu. Nie przywiązana do lokalnych nacjonalizmów. Składająca się z tych, którzy na pytanie, czy Lwów jest polski czy ukraiński odpowiadają: „Lwów to Lwów, do cholery! Tak jak Praga, Wilno czy cokolwiek innego”.

W tej grupie dominowali Żydzi. Mogły się w nią włączać osoby różnych wyznań i różnego pochodzenia, czasem trafiał się jakiś Słowianin, Niemiec czy Francuz, ale jednak przeważali Żydzi. Dlaczego? Może dlatego, że ówczesna młodzież żydowska, przeżywająca swój bunt pokoleniowy, a wywodząca się z kostniejącego już w owym czasie judaizmu (czyli kultury narodo-wo i religijnie bardzo zamkniętej) szukała przeciwieństwa tego, w czym wyrosła, a tym przeciwieństwem był właśnie kosmopolityzm i bezwyznaniowość? Może prawosławni czy katolicycy rówieśnicy tych młodych Żydów nie musieli szukać duchowej niezależności w obszarach tak ekstremalnych, bo nie byli wychowani w tradycji tak hermetycznej?

W każdym razie ci młodzi mieli dość siły, by umieć wyjść z getta, a jednocześnie byli na tyle oświeceni, by nie dać się zagarnąć żadnej innej tradycji religijnej ani wielkim ideologiom. Pozostali w zawieszaniu, z dystansem. I wytworzyli taki charakterystyczny typ żydowskiego, wschodnioeuropejskiego intelektualisty czy inteligenta. Jego protoplastą mógł być pewnie jakiś pradziadek Słonimskiego, ten, co ze Staszicem, znanym ponoć antysemitą, bawił się w matematykę, jedyny chyba żydowski członek warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Z tej atmosfery wywodziły się teksty Franza Kafki, Noama Chomsky'ego.

Ludzi tych było w Polsce bardzo dużo. Sporo też w Niemczech, Austrii, Rosji, na Węgrzech i w Czechach. I wszyscy przez długi czas postrzegani byli jako „tutejsi”. „Nietutejsi” stali się dopiero wtedy, gdy pojawiły się dwudziestowieczne nacjonalizmy. Wszystkie nacjonalizmy. Również izraelskie czy

żydowskie. Izrael przez tę grupę nie został zbudowany. Dlatego nie znajdujesz tutaj jej przedstawicieli.

Pytasz, gdzie możesz ich znaleźć? Zmartwię cię: nigdzie. To jest właśnie ponura odpowiedź na twoje pytanie o rodowód: nigdzie. Ta grupa nie przeżyła. Różni religijni Żydzi przetrwali Holocaust, uchronili się gdzieś poza Europą Środkową, ale ci, bezwyznaniowi, kosmopolityczni żydowscy inteligenci – nie. Trochę uratowało się w Związku Radzieckim, ale ci do Polski wrócili jako komuniści. I nie miał już kto po wojnie odbudować etosu tej grupy.

Zostały resztki. „Nietutejsze” resztki. Resztki ludzi, resztki postaw. Te postawy ujawniają się czasem w postaci takich potrzeb, jakie ty masz – dystansu, indywidualizmu, tolerancji. Ale nie mogą w pełni zaistnieć. Bo dziś w świecie – który jest albo totalitarny albo nacjonalistyczny – na takie postawy nie ma miejsca. I ludzie, którzy je głoszą, skazani są na „nietutejszość”.

**Ja:** I według ciebie ja jestem właśnie z tych „nietutejszych” resztek?

**Janek:** Może.

**Ja:** I ty?

**Janek:** Też może.

**Ja:** I co by dalej z tego wynikało?

**Janek:** Pewnie nic. Tylko to, że jeżeli szukasz korzeni, nie szukaj w Izraelu, szukaj nad Wisłą.

**Ja:** Ale to nie jest tak, żebym ja tu zupełnie nic nie znajdowała. Na coś jednak ciągle natrafiam. Czasem przychodzą tu do mnie nagle olśnienia, jakieś przypomnienia, gdy widzę różne żydowskie twarze, obserwuję gestykulację, ekspresję... Jakby wracało do mnie dzieciństwo, w którym było więcej żydowskich twarzy, niż teraz. Jakbym czegoś dotykała, coś odkrywała.

**Janek:** Co odkrywała? Że jesteś znad Wisły? Że Żydówka? Że jak machasz lewą ręką, jak w rozmowie ze mną, to robisz to dokładnie tak, jak Rozenkranz z przeciwka?

**Ja:** A gdyby na przykład to?

**Janek:** I co w tym dziwnego?

**Ja:** To dla mnie nowe...

**Janek:** No jesteś z tych Rozenkranzów!

**Ja:** Jestem z rodziny, która niewiele chciała mieć wspólnego z jakimiś Rozenkrancami.

**Janek:** No i dobrze. Moi też chcieli być przede wszystkim dobrymi Polakami. Ale jakoś nie wyszło. Zdecydowanie nie wyszło. Przyznasz chyba, że jestem ewidentnym dowodem tego fiaska?

**Ja:** Jesteś, Jasiu. Siedzisz w Izraelu i piszesz książki o Indianach. Z narodowości historyk.

**Janek:** Z narodowości historyk. Ale coś ci pokażę: tu, w szafie, po lewej stronie mam tałes<sup>55</sup>, myckę i żydowski modlitewnik.

**Ja:** Co?...

**Janek:** Tałes, myckę i żydowski modlitewnik. Ustawa mówi, że imigrant ma prawo dostać to za darmo. Jak tylko się dowiedziałem, natychmiast poszedłem we wskazane miejsce. Tałes ze sto szekli kosztuje, a to przecież bardzo ładne jest! Więc udałem się z książeczką imigranta, wstemplowano mi, że otrzymałem.

I mam.

---

## Przypisy

1. Po 1956 roku obywatele polscy żydowskiego pochodzenia uzyskali od władz PRL prawo do emigracji.
2. Lewant – nazwa krajów położonych nad brzegami Morza Śródziemnego – wybrzeża Azji Mniejszej, Syrii, Libanu, Izraela i Egiptu.
3. Po zakończeniu wojny sześciodniowej Izrael liczył na szybki pokój z Arabami, zakładając możliwość zwrotu zdobytych terytoriów w zamian za arabskie gwarancje pokojowe i uznanie przez Arabów państwa Izrael. Nadzieje te zostały rozproszone trzema arabskimi „nie”: „Nie ma uznania. Nie ma negocjacji. Nie ma pokoju” – ogłoszonymi w czasie szczytu arabskiego w Chartumie, 1 września 1967.
4. Pojęcia prawicy i lewicy mają w Izraelu nieco inne odniesienia niż w Polsce.
5. Wzgórza Golan mają znaczenie strategiczne. Przed wojną sześciodniową padały z nich strzały syryjskie na osiedla izraelskie nad jeziorem Genezaret. Wzgórza Golan są też terenem bardzo pięknym widokowo.
6. „Stary Izrael” – Izrael w granicach sprzed wojny sześciodniowej.
7. Ideę transferu, czyli wysiedlenia wszystkich Arabów do krajów arabskich, głosi mała, skrajnie prawicowa partia Moledet (hebr. ojczyzna).
8. Mykwa – basen z bieżącą wodą (może być też rzeka), służący Żydom do kąpieli rytualnych, a także do rytualnego oczyszczania („koszerowania”) naczyń i sprzętów.
9. Hebrajska nazwa Starego Testamentu.
10. Szabas (szabat) – w religii żydowskiej cotygodniowy dzień odpoczynku. Wszelkie prace są zakazane, włącznie z rozpalaniem ognia (współcześnie: elektryczności), handlowaniem,



pisaniem. Szabas trwa od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę. Ważną jego część stanowi piątkowa wieczerza z modlitwami i śpiewami.

11. Szejrut – duży samochód osobowy jeżdżący po ustalonych trasach i zabierający pasażerów z wyznaczonych przystanków. Cena przejazdu jest nieco wyższa od ceny biletu autobusowego.
12. Pesach – święto wiosenne upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu. Trwa cały tydzień.
13. W Jerozolimie od wielu stuleci znajdowały się drobne skupiska Żydów. W XIX wieku, gdy zaczęła się żydowska imigracja do Palestyny, powstały nowe dzielnice poza murami starej Jerozolimy. Jedną z nich jest Mea Szearim, która do dziś utrzymała architekturę tradycyjnego żydowskiego wschodnioeuropejskiego miasteczka i której mieszkańcy zachowali strój, wygląd i sposób życia wschodnioeuropejskich Żydów z dziewiętnastego wieku.
14. Ściana Płaczu – od wieków symbol religijny i narodowy Żydów. Fragment muru Drugiej Świątyni zburzonej w 70 roku n.e.
15. Według jednej z tradycji żydowskich Jerozolima jest miejscem, od którego zaczęło się stworzenie świata i zaczęcie się zmartwychwstanie.
16. Są różne stopnie ortodoksji żydowskiej. Opisana sytuacja należy do krańcowych.
17. Jom Kippur – dosłownie Dzień Pojednania, nazywany też Sądny Dniem. Obchodzony dziesiątego dnia żydowskiego Nowego Roku (co wypada we wrześniu lub w październiku), jest dniem całkowitego postu, pokuty oraz rozważań nad zeszłorocznymi czynami. Wszelkie prace są zakazane, jak w szabas. Większość Żydów idzie wtedy do synagogi. W Izraelu w tym dniu radio i telewizja nie działają, na ogół wszyscy przestrzegają zakazu prowadzenia pojazdów.
18. Golda Meir (1898-1979) była w czasie wojny Jom Kippur premierem Izraela, a Mosze Dajan ministrem obrony.
19. Do 1967 roku w szkołach izraelskich mało mówiono o Holocauście, który interpretowano jako pójście Żydów na śmierć bez oporu. Dopiero wojna sześciodniowa, a potem wojna Jom Kippur zmieniły stosunek Izraelczyków do Holocaustu, traktowanego odtąd jako główny element zbiorowego doświadczenia żydowskiego.
20. David Ben Gurion (1886-1973) – długoletni premier Izraela od początku istnienia państwa i jeden z najwybitniejszych polityków izraelskich. Głosił ideę nowoczesnego rozwoju gospodarczego, ze szczególnym nastawieniem na zagospodarowanie pustyni.
21. Stało się to we wrześniu 1969. Al Fatah – zbrojne oddziały Organizacji Wyzolenia Palestyny – zostały przez wojska jordańskie usunięte z terenu Jordanii po krwawych walkach.
22. Chodzi o *Orędzie biskupów polskich* ze słynną formułą „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, wystosowane do Episkopatu Niemieckiego w 1965 roku z okazji obchodów Millenium. Stwierdzenie Episkopatu, że Polacy, odpowiadając na zbrodnie hitlerowskie, krzywdzili ludność niemiecką (szczególnie przez usunięcie Niemców z Ziemi Zachodnich) oraz zawarte w liście hasło dążenia do zgody między Polakami i Niemcami sprzeczne było z ówczesną oficjalną wykładnią historii PRL, a także z tendencją władz do podsyceania w Polakach nastrojów antyniemieckich. List spowodował ostrą propagandową reakcję.
23. Polacy żydowskiego pochodzenia otrzymywali zezwolenia na wyjazdy emigracyjne pod warunkiem zrzeczenia się obywatelstwa polskiego. Wyjeżdżali bez dowodów osobistych i bez paszportów. Jedynym świadectwem ich tożsamości był „dokument podróży”.
24. Tefilin – skórzane pudełeczka z wersetami biblijnymi, używane przez ortodoksyjnych Żydów w czasie modlitwy porannej.
25. Po wojnie sześciodniowej Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Od tego czasu aż do 1986 r. wszystkie sprawy dotyczące kontaktów z Izraelem załatwiała ambasada holenderska w Polsce.

26. HIAS (Hebrew Imigrant Aid Society) – organizacja pomagająca materialnie żydowskim emigrantom w ułożeniu sobie życia w nowym kraju.
27. Sochnut – agencja żydowska, w której Żydzi emigrujący do Izraela załatwiają wszystkie sprawy wyjazdowe. Sochnut pomaga im również w Izraelu, gdy są już tzw. nowymi imigrantami.
28. Kibuce – żydowskie wspólnoty rolnicze opierające się na zbiorowej własności majątku i zbiorowym podejmowaniu decyzji. Motywem zakładania ich były wymogi pionierskiego życia w Palestynie i konieczność samoobrony. Mimo zmiany warunków przetrwały do dziś.
29. „Kurwiny” – żartobliwa, potocznie używana przez Żydów polskich w Izraelu nazwa polskiego dziennika „Nowiny Kurier”, wydawanego w Tel Awiwie.
30. Wszystkie te pamiątki zostały po pobycie armii Andersa w Palestynie w 1943 roku.
31. Hebrajski był dawniej językiem modlitw żydowskich, językiem biblijnym. Zwolennicy założenia w Palestynie żydowskiego państwa narodowego uznali go za język narodowy i zaczęli dostosowywać do potrzeb współczesnego życia.
32. W Izraelu zasadniczą służbę wojskową mężczyźni obowiązani są odslugiwać przez trzy, a kobiety niezamężne przez dwa lata (mężatki są od służby wojskowej zwolnione). Ponadto wszyscy mają coroczne ćwiczenia, trwające czasem nawet dwa miesiące. Kobiety odbywają je do 24, mężczyźni do 60 roku życia, przy czym po ukończeniu 45 lat przydzielani są tylko do obrony cywilnej.
33. W Izraelu wydarzenie to odbierane jest jako symbol brutalnego stłumienia buntu i, w zależności od opcji politycznej, uznawane za wzór lub anty-wzór postępowania z Palestyńczykami.
34. Wszystkie te miasta leżą na terytoriach zajętych przez Izrael po wojnie sześciodniowej.
35. Arthur Neville Chamberlain, w latach 1937–40 premier Wielkiej Brytanii, był jednym z inicjatorów układu monachijskiego (1938), który upoważniał Hitlera do aneksji części Czechosłowacji. Układ podpisała Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy. W jego następstwie Niemcy całkowicie wchłonęły Czechosłowację i rozpoczęły II wojnę światową.
36. TSKŻ – Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce. W latach sześćdziesiątych prowadziło ożywioną działalność kulturalną i socjalną w środowiskach żydowskich.
37. W czasie wojny sześciodniowej władze PRL opowiedziały się po stronie arabskiej. Wkrótce potem nastąpiły pierwsze, odgórne ataki na środowiska żydowskie. Zapoczątkował je Gomułka na VI Kongresie Związków Zawodowych (16 czerwca 1967), oskarżając Żydów mieszkających w Polsce o brak lojalności i nazywając ich potencjalną „piątą kolumną”.
38. Centrum adaptacyjne – rodzaj akademika dla nowych imigrantów. Uczą się tam języka hebrajskiego i mieszkają zwykle około pół roku.
39. Jest to tzw. prawo powrotu. Każdy Żyd, potomek Żyda (nawet z mieszanego małżeństwa i to niezależnie od tego, czy matka, czy ojciec był Żydem), każdy współmałżonek Żyda oraz każda osoba nieżydowskiego pochodzenia, która przeszła na judaizm, mają prawo do obywatelstwa izraelskiego.
40. Gaza i zachodni brzeg Jordanu należą do ziem zajętych przez Izrael po wojnie sześciodniowej.
41. Aszkenazyjski typ urody – zespół cech i zachowań stereotypowo przypisywanych Żydom pochodzącym z Europy Środkowej i Wschodniej.
42. Marokańczyk, Tunezyjczyk, Argentyńczyk, Rumun, Polak – w Izraelu potoczne określenia Żydów pochodzących z tych państw.
43. Moszaw – rodzaj wsi izraelskiej, w której mieszkają indywidualni rolnicy zorganizowani w spółdzielni zaopatrzenia i zbytu.



44. Sabra – potoczna nazwa Żyda urodzonego w Izraelu. Pochodzi od hebrajskiego słowa *sabra*, oznaczającego owoc kaktusa, który w środku jest bardzo słodki, ale ma kolczastą skórkę.
45. Partia Pracy – partia socjaldemokratyczna, która rządziła Izraelem od początku istnienia państwa do połowy lat siedemdziesiątych.
46. Górna kraweź Ściany Placzu jest początkiem tarasu, na którym stoi meczet Al-Aksa i meczet Omara (meczet na Skale) – miejsca bardzo ważne w tradycji muzułmańskiej.
47. Jeszyboty – wyższe szkoły religijne.
48. Likud – rządząca obecnie w Izraelu partia centroprawicowa.
49. Wynika to z historii Palestyny, która do I wojny światowej była pod władzą turecką, potem pod tzw. mandatem brytyjskim, a od 1948 roku częściowo pod władzą izraelską, a częściowo jordańską.
50. Judaizm reformowany, odwołujący się przede wszystkim do moralności i odrzucający rytualne restrykcje związane z dietą, obrzezaniem i świętami, rozwinął się w XIX wieku w Niemczech, a potem w Stanach Zjednoczonych. Judaizm konserwatywny jest pośrednią formą między judaizmem ortodoksyjnym i reformowanym.
51. Rekonstrukcjonizm – żydowski nurt religijny, który wyodrębnił się z judaizmu konserwatywnego.
52. Hebron – miasto należące przed wojną sześciodniową do Jordanii i będące dzisiaj jednym z ważniejszych ośrodków arabskich. Jest to również miasto święte – zarówno dla Żydów, jak i dla Arabów. Został tam pochowany Abraham, który jest, poprzez Izmaela, również praojcem Arabów.
53. Stare Miasto i wschodnia Jerozolima należały przed wojną sześciodniową do Jordanii i część tych terenów nadal zamieszkała jest głównie przez Arabów.
54. Od 1939 roku Anglicy wprowadzili bardzo ostre ograniczenia imigracyjne dla Żydów. Od tego momentu aż do odzyskania niepodległości imigracja żydowska odbywała się nielegalnie.
55. Tałas (tallit) – biały szal w czarne lub niebieskie pasy, z frędzlami, używany przez Żydów do modlitwy porannej.

---

## Niektóre fakty z dziejów współczesnego Izraela

- 1882-1903 *I alija* (imigracja żydowska do Palestyny), głównie z Rosji. Rezultat pogromów oraz ograniczenia przez władze carskie terenów, na których wolno było przebywać Żydom.
- 1896 Publikacja książki Teodora Herzla *Der Judenstaat* (*Państwo Żydowskie*) – zawierającej program ruchu syjonistycznego, mającego na celu założenie w Palestynie państwa dla wszystkich Żydów i stworzenie tam warunków do odrodzenia się żydowskiego życia narodowego.
- 1897 I Kongres Syjonistyczny, utworzenie Światowej Organizacji Syjonistycznej.
- 1904-1914 *II alija* z Rosji i Polski – ucieczka przed pogromami.
- 1908 Założenie pierwszego kibucu.
- 1917 Deklaracja Arthura Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, zapewniająca poparcie Wielkiej Brytanii dla idei państwa żydowskiego w Palestynie. Pierwszy polityczny akt poparcia pochodzący spoza środowisk żydowskich.



- 1918 Początek brytyjskiej okupacji Palestyny, kończący czterechsetletnie panowanie tam Turcji Otomańskiej.
- 1919-1923 *III alija*, głównie z Polski. Zakładanie żydowskich kibuców i osad.
- 1924-1928 *IV alija*, znowu głównie z Polski. Większość imigrantów osiedla się w miastach.
- 1929-1939 *V alija*, przede wszystkim Żydów niemieckich, uciekających przed terrorem hitlerowskim.
- 1939 Brytyjczycy wprowadzają ograniczenia imigracyjne dla Żydów: górny limit imigracji ma wynosić 75 tysięcy osób. Imigracja ma się zakończyć w ciągu pięciu lat.
- 1940-1948 *VI i VII alija*, dokonywane wbrew zarządzeniom brytyjskim.
- 1940 Ochotniczy udział Żydów palestyńskich w walkach armii brytyjskiej przeciwko hitlerowskim Niemcom.
- 1947 Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjmuje plan podziału Palestyny między Żydów i Arabów. Plan zaakceptowany przez Żydów, odrzucony przez Arabów.
- 1948 15 maja – Proklamowanie państwa Izrael. Ewakuacja wojsk brytyjskich. Inwazja wojsk Egiptu, Syrii, Jordanii, Libanu, Iraku i Arabii Saudyjskiej na Izrael. Po ostrych walkach, trwających rok, Izrael zwycięża, powiększa swoje terytorium i uzyskuje zawieszenie broni.
- 1956 Konflikt sueski. Egipt przejmuje kontrolę nad Kanałem Sueskim. W odpowiedzi Wielka Brytania i Francja przystępują do ataku na Egipt. Izrael, któremu Egipcjanie zablokowali port Ejlat (jedyne wyjście morskie dla handlu Izraela z Azją), dołącza się, zajmuje Gazę i Synaj, będący bazą dla egipskich ataków terrorystycznych na Izrael. Po paru miesiącach, w wyniku negocjacji z Egiptem, Izrael oddaje zajęte tereny w zamian za obietnicę zaprzestania ataków. Kampania sueska wykazała sprawność i skuteczność wojskową armii izraelskiej.
- 1967 Wojna sześciodniowa, zwana też czerwcową. Izrael – zaatakowany jednocześnie przez Egipt, Syrię i Jordanię – w ciągu sześciu dni zwycięża i powiększa swoje terytorium, uzyskując kontrolę nad całą Cisjordaną, rejonem Gazy, Synajem i wzgórzami Golan oraz zabierając Jordanii wschodnią część Jerozolimy ze Starym Miastem.
- 1969-1970 Egipt inicjuje tzw. wojnę na wycieńczenie, toczącą się wzdłuż linii przerwania ognia nad Kanałem Sueskim.
- 1973 Wybuch wojny Jom Kippur: równoczesny atak Syrii na wzgórze Golan i Egiptu na Kanał Sueski. Zaskoczony Izrael dopiero po trzech tygodniach przerywa front i tworzy przyczółek na terytorium Egiptu. Po tym następuje zawieszenie broni z Egiptem i wielomiesięczne negocjacje z udziałem USA, podczas których Syria rozpoczyna wojnę na wycieńczenie, dokonując długotrwałych ataków na wzgórze Golan i osiedla izraelskie. Wojna Jom Kippur kończy się zawieszeniem broni i wprowadzeniem wojsk ONZ na Synaj i wzgórze Golan. Egipt uzyskuje przyczółek Synaju. Izrael – część wzgórz Golan.
- 1979 Pokojowe pertraktacje egipsko-izraelskie w Camp David, przy mediacji USA. Izrael zobowiązuje się do stopniowego oddania Synaju. Traktat pokojowy Egiptu z Izraelem powoduje rozłam w świecie arabskim.
- 1979-1982 Izrael ewakuuje się z Synaju.
- 1982 Wojna libańska (tak zwana antyterrorystyczna operacja libańska). Izrael wkacza do Libanu, żeby zapobiec atakom terrorystycznym znajdujących się tam zbrojnych oddziałów Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Wojna kończy się utworzeniem w południowym Libanie strefy kontrolowanej przez Izrael. Działania Izraela w Libanie spotykają się z mieszanymi, często niechętnymi reakcjami, zarówno wśród Izraelczyków, jak i na świecie.
- 1987 grudzień – początek *intifady* (arab. otrząśnięcie się, zrzucenie ciężaru). Jest to palestyński ruch oporu, rozwijający się na ziemiach zajętych przez Izrael po wojnie sześciodniowej. Jego główne formy to strajki, demonstracje, rzucanie kamieniami w żołnierzy izraelskich (głównie przez dzieci) oraz akty terroru.
- 1991 luty – irackie ataki raketowe na Izrael podczas wojny nad Zatoką Perską.

## DZIEKUJE

Ani Mieszczanek za „Krajobraz po szoku” – opracowaną przez nią dla „Karty” i bardzo dla mnie inspirującą książkę o rozrzuconych po świecie emigrantach z Marca '68;

Małgosi Melchior za to, że proponując mi udział w ankiecie o tożsamości Polaków żydowskiego pochodzenia, zadała kilka zasadniczych pytań i nakłoniła mnie do trudnych przemyśleń;

ludziom, którzy mnie gościli i podejmowali w Izraelu – Mojej Rodzinie, Irene i Zusi Efronom, Oldze Zambrowskiej, Mosze Anafowi, Alainowi Baczyńskiemu i wszystkim innym – za serdeczność i opiekę;

moim rozmówcom za chęć podzielenia się doświadczeniami, ofiarowanie mi swojego czasu, cierpliwości i wrażliwości;

Zbyszkowi Gluzie, redaktorowi naczelnemu „Karty”, za stworzenie mi warunków do przedłużenia pobytu w Izraelu i pisanía książki, a całemu Zespołowi „Karty” za życzliwe towarzyszenie w procesie jej powstawania;

Instytutowi na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE) za pomoc w zorganizowaniu podróży do Izraela;

wszystkim osobom, które udzielały mi merytorycznych konsultacji, a zwłaszcza Ami Mehlowi, Sekretarzowi Ambasady Izraela w Polsce; Danie Bar Yase; Staszкови Krajewskiemu i Jankowi Jagielskiemu;

wszystkim przyjaciółom, którzy nie szczędzili mi pomocy i otuchy namawiając do podróży i pisanía

oraz

Stefanowi, Lili i Alikowi Sawickim, sprawcom, świadkom i współtwórcom mojej izraelskiej przygody;

Sławkowi Biegańskiemu, pierwszemu czytelnikowi moich tekstów.

Joanna Wiszniewicz

# Karta

niezależne pismo historyczne

Ośrodek KARTA

02-560 Warszawa, ul. Odolańska 10

tel. 48-07-12, fax 48-07-28



## Rozmowy z pokoleniem '68

Lecieliśmy samolotem El-Al-u. Stary ciągle pokazywał mi stewardessy: „Popatrz jakie fajne dziewczyny, jakie opalone!”. Chciał mnie rozerwać, bo byłem już do całej tej podróży strasznie zniechęcony. „Nic się nie martw, najważniejsze, że nikt ci nie będzie wytykać, że jesteś Żydem!”

Zbaraniałem. Przecież ja nie byłem Żydem.

Samolot przyleciał w nocy, zatrzymałem się u krewnych, rano odstąpiłem zastony, zobaczyłem słońce. I wiedziałem już, że to kraj dla mnie. Odezwał się we mnie syjonizm. Klimatyczny.

**Seria ŻYDZI POLSCY prezentuje losy Żydów polskich w dwudziestym wieku, ukazywane przede wszystkim za pośrednictwem osobistych dokumentów i relacji świadków wydarzeń.**

**Seria ŻYDZI POLSCY, przygotowywana wspólnie z Żydowskim Instytutem Historycznym w Warszawie, w dużym stopniu opiera się na jego archiwaliach.**

